Nr. 4. W Tarnowie, 20-go lutego 1907. **R. XI.**

DWUTYGODNIK KATECHETYCZNY I DUSZPASTERSKI

wychodzi 5go i 20go każdego miesiąca, wyjąwszy wakacyj.

Prenumerata wynosi:
Całorocznie 9 k. Półrocznie 4 k. 60 h.
Zagranicą 10 k. „ 5 k. 20 h.
Numer jeden 60 h.
Prenumeratę półroczną rozpocząć można tylko od 5. stycznia lub od 5. czerwca.

Za granicą przyjmują prenumeratę urzędy pocztowe. (l. 6279).
Inseraty, odpowiadające treści pisma, płatne z góry, po 20 h. od wiersza petit.
Reklamacye wolne są od opłaty pocztowej. Uwzględnione być jednak mogą tylko do dni 14 po wyjściu numeru.

W Kongresówce i na Litwie skład główny w księgarni Szczepkowskiego w Warszawie. Całorocznie 5 r. 50 k.

Adres Redakcyi i Administracyi: Tarnów, ul. Przecznica Różana l. 3.

»In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas«.

Kurs katechetyczny we Lwowie.

W myśl programu rozpoczął się kurs katechetyczny we Lwowie w seminaryum duchownem dnia 2. lutego o godzinie 8mej Mszą św. w kaplicy, poczem uczestnicy w liczbie około 150 i goście przeszli do auli. Pośród gości widzieliśmy nietylko przy zagajeniu ale i na wielu odczytach pp. Płażka, wiceprezydenta c. k. Rady szk. kr., Dębowskiego, Baranowskiego, Zaleskiego, Frankego, Twardowskiego. JK. Biskup Bandurski był obecny na wszystkich referatach.

Po krótkiem zagajeniu przez X. dra Pechnika, jako prezesa Związku katechetów, kurs urządzającego i odczytaniu błogosławieństw otrzymanych od JEm. kard. Puzyny i od Najprzew. XX. Biskupów, dra Pelczara i dra Wałęgi, uchwalono wysłać telegram do Ojca św.

JE. X. Arcyb. *Bilczewski* udzielił zebranym Swego błogosławieństwa i przemówił w słowach ciepłych i serdecznych, nawiązując do wyrażenia się biskupa Mermilloda, że mimo swych 40.000 kapłanów Francya idzie ku zgubie, bo wychowanie młodzieży przeprowadza się tam w sposób wadliwy. Ducha niewiary podsyca kierunek nauk. Jedna ateistyczna lekcya z nauk przyrodniczych jest w stanie zniweczyć długoletnią pracę katechety. Mermillod skarży się nadto na kierunek obecnych studyów klasycznych, wystudzający duszę i wyłączny wpływ na urobieni e charakteru oddający poetom i retorom, nieznającym wcale Chrystusa Pana lub wrogim Chrystusowi. Nowoczesna lektura, oszałamiająca

formą estetyczną, a usamowalniająca namiętności, dopełnia reszty i sprawia, że Kościół i społeczeństwo doznają zawodu. Religia w szkołach odgrywa dziś rolę króla konstytucyjnego, który panuje jeszcze, ale już nie rządzi.

Są to powody zewnętrzne złego wychowania. Ale i my kapłani nie jesteśmy bez winy. Wspólny list pasterski Episkopatu austr. do katechetów, który wyjdzie niebawem, wskaże, w czem jest nostra magna culpa. Już jednak kurs obecny jest zadatkiem lepszej przyszłości. Wzory wzniosłe pracy katechetycznej dają św. Augustyn, Ojciec Kościoła—kanclerz Gerson—a przedewszystkiem sam Chrystus Pan. Wita zebranych serdecznie i życzy im powodzenia w pracy, bo jest przekonany, że gdzie niema pracy katechety, tam niema fundamentu pod owocną pracę kaznodziei.

Przedewszystkiem pragnie, by *Pismo św. Nowego Zakonu* było często w rękach katechety i uczniów. Przy *etyce* radzi uwzględniać więcej stronę socyalną i uwydatniać jako cel: dobro powszechne. Modlitwa i Sakramenta św. są wartości nieocenionej, ale tylko jako środki do życia uczciwego i zrobienia tyle dobrego, ile tylko zrobić możemy. Celu tego nigdy z oka spuszczać się nie godzi. Jeźli chcemy spełnić życzenie Ojca św. Piusa X. i założyć *stowarzyszenie nauki chrześsijańskiej*, trzeba dzieci przygotować na Apostołów późniejszych w stanie świeckim, bo starszych trudno usposobić należycie. Przy wychowaniu jednak należy się kierować *nie instynktem*, lecz zaglądać do dzieł pedagogów największych, zwłaszcza chrześcijańskich i wychowywać nie tylko głowę, ale i całą duszę. *Miłość Boga i dzieci* w Bogu ma zagrzewać katechetę nieustannie; bez niej serce wychowawcy stanie się podobnem do słońca zimowego, które nie ogrzewa, a nawet świeci blado. Ktoby chciał prowadzić dzieci bez miłości, z sercem rozgoryczonem i zmrożonem, niech raczej wycofa się ze stanowiska katechety, Kochajmy dzieci, bo i Bóg był dzieckiem. *Związki katechetów* powinny stać się związkami modlitwy za siebie, za Współbraci i za dziatwę szkolną. Żałuje, że w pośród prelegentów nie widzi wytrawnych pedagogów świeckich, ale usprawiedliwia to pierwszą próbą. Kończy życzeniami powodzenia dla kursu.

Na wniosek Prezesa Zw. Kat. wybrano Prezesem kursu ks. kan. Lubomęskiego ze Lwowa, wiceprezesami XX. Jeża z Krakowa i Wątorka z Tarnowa, oraz 4 sekretarzy.

W myśl ogłoszonego naprzód programu referował następnie X. dr. *Fiałek* o dziejach katechezy w Polsce, poczem zwiedzono wystawę katechetyczną, stanowiącą zawiązek muzeum katechetycz-

nego, a urządzoną staraniem XX. Józefowicza i Makłowicza. Żałować tylko można, że wystawy nie umieszczono w gmachu seminaryum duch., bo pożytek z niej byłby nierównie większy.

Popołudniu referował o 3ciej X. *Ślepicki* (Kraków) o katechizmach najnowszych i X. dr. *Gertsman* (Lwów) o nauczaniu historyi kościelnej. Po referatach była dyskusya ożywiona.

We wtorek w porządku tymsamym wygłosili referaty: X. dr. *Wais* (Przemyśl) o transformizmie (najlepsza praca wśród kursu całego), i X. *Jeż* (Kraków) o uświadamianiu młodzieży pod względem płciowym, a popołudniu X. *Ślepicki* (Kraków) o metodzie nauczania katechizmu i X. dr. *Pechnik* na temat: „O ile katecheta może korzystać przy nauczaniu w szkole średniej z literatury świeckiej".

We środę była lekcya praktyczna z dogmatyki w kl. VI. gimnazyum IVgo (X. dr. *Kuryś*) i równocześnie w kl. III. szkoły ćwiczeń w sem. naucz. męskiem (X. *Boczar*), a następnie referował X. dr. *Szczeklik* (Tarnów) o sposobach ulepszenia podręcznika de nauki etyki. Popołudniu mówił X. dr. *Sieniatycki* i X. Prałat dr. *Lenkiewicz* o nauczaniu dogmatyki.

We czwartek była lekcya praktyczna z etyki w kl. VI. realnej (I.) u X. dra *Szydelskiego* i równocześnie z historyi Kościoła w kl. VIII. gimn. Fr. Józefa (X. dr. *Gerstman*), poczem X. dr. *Gabryl* (Kraków) prawił o różnicy między duszą ludzką a zwierzęcą. Popołudniu udali się uczestnicy kursu na uniwersytet do laboratoryum prof. Radziszewskiego, gdzie X. *Józefowicz* (Lwów) mówił o środkach poglądowych przy nauczaniu religii i przy pomocy skioptikon rzucał obrazy świetlne treści religijnej. Wieczorem odbyła się całogodzinna wspólna adoracya Najśw. Sakramentu w kościele katedralnym.

W piątek referował X. dr. *Podwin* (Kraków) o stosunku katechety do młodzieży, a następnie odczytano pracę nieobecnego X. dra *Bystrzonowskiego* o nauczaniu Biblii. Popołudniu omówiono lekcye praktyczne. Wyjąwszy referatów X. dra Gabryla, Józefowicza i dra Bystrzonowskiego, odbywała się po wszystkich odczytach dyskussya, nieraz wcale długa. W sobotę przedpołudniem był wiec poufny katechetyczny. Treść wierną referatów i dyskussyi podamy w numerach następnych, obecnie streścimy zakończenie, jakie w piątek wieczorem wypowiedział JE. Najprzew. X. Arcybiskup *Teodorowicz*.

Dostojny Mowca starał się zaokrąglić i sharmonizować przedmioty, które były omawiane na kursie, a przytem dorzucił „całą

wiązankę uwag trafnych, i na czasie. Przypomniał *wpływy ujemne zewnętrzne*, jakie dziś urabiają umysłowość młodzieży i narzekał na brak w traktowaniu prawd wiary pewnego ujednostajnienia, na tworzenie wielu tak zw. „*szufladek*“ (jak dogmatyka, etyka itp.), na brak zdania sprawy, dlaczego wierzymy. Wiedza wraca dziś do katechizmów, a my staramy się od nich oddalić. Na wzorach francuskich wskazał, jak bez ujmy dla celów nauczania religijnego możnaby Biblię, liturgikę i dzieje Kościoła uznać za *przedmioty drugorzędne* i starać się o ich wzajemne przenikanie się z dogmatami, o łączenie prawd religijnych w dopełniające się jedno. *Pismem św.* nie należy posługiwać się tam, gdzie jego siła dowodowa jest niejasna i wątpliwa, natomiast należy w ogóle zostawić miejsce Ewangelii, zwłaszcza, że dziś (Ethosy, D. R.) Kościół biją Ewangelią i twierdzą, że odszedł od Ewangelii. Ewangelia dopiero przedstawi w plastyce, z całą mocą, prawdy, jakie zawiera katechizm. *W historyi Kościoła* należałoby się ograniczyć do tego, co wielkie, a uwzględniać czynnik apologetyczny i ukazywać siłę socyalną Kościoła i wogóle to, co z dzisiejszem życiem w blizkiej zostaje łączności. Podobnie *liturgika*, która w świętach roztacza katechizm, posłuży do pogłębienia i rozszerzenia całokształtu.

Prawda religijna, odcięta od życia, staje się suchą, oderwaną, przeto w nauczaniu religii trzeba *zejść do życia* i ze strony życia prawdy głosić i podkreślać.

Nie usuwa to potrzeby *dowodów*, a chroni przed przesadą. Dopóki bowiem w duszy młodzieńca rozum pozostaje jeszcze w równowadze z wiarą, a katecheta, przedstawiając mu prawdy Boże, woła: „Osądź to! Rozwiąż!“—to łatwo rozum ucznia zrobi się sędzią wiary i wzniesie w duszy trybunał, przed który bogów cytuje. Nie należy więc stawiać zarzutów nieopatrznie, ale trzeba zważać na to, co życie niesie, co krzewią dzienniki, książki, rozmowy, by nie wypuścić ucznia w świat bez ugruntowania. Co do *sposobu dowodzenia* należy w tajemnicach wiary nie uciekać się do rozumu, ale dać poznać krytycznie fakt objawienia i uzasadnić powagę Kościoła nauczającego. W ten sposób wytworzy się sensus fidei, którego krytycyzm nie obali. Dowody mają być pozytywne i gruntowne (argumenta non numeranda sed ponderanda), unikające analogii z plaidoyer adwokackiem, które rzeczy ważniejsze i mniej wartościowe miesza ze sobą. Nie brońmy tego, co obronić się nie da, bo nie pochodzi z istoty Kościoła, lecz z płochej credulitas. Nie należy jednak pomijać dowodów rozumowych, zwłaszcza w kwestyach aktualnych, nie ignorować sposobu dowodzenia

liberalnych, socyalistów, Renana, Harnacka, Nietschego itp., nie lekceważyć np. zarzutu modnego, że chrystyanizm jest rzeczą wzniosłą, ale czysto ludzką.

Owszem trzeba nie tylko parować cięcia, ale zejść na teren przeciwnika, który często oszałamia całą masą zarzutów. *Terenem owym jest wiedza i jej autorytet.* „Znam wszystko, co wy znacie a nadto jeszcze prawdę objawioną" powinienby za biskupem głośnym powtórzyć każdy katecheta i opanować teren wiedzy nie dla zaimponowania, lecz dla oddziałania na drugich. Bez tego bożyszcza wieku nie znajdzie się dziś klucza do dusz ludzi uprzedzonych. Poradne są także wypisy z autorów wybitnych, zestawione dla uczniów w kierunku religijno-moralnym, może nawet z odsyłaczami do odnośnych ustępów dogmatyki, etyki lub katechizmu.

Należy też *uwzględniać ducha literatury najnowszej* W czasach Mickiewicza literatura zapalała duszę do poświęcenia się, by osiągnąć ideał poza nami leżący, obecnie zaś mówi czytelnikowi: „Ideałem jesteś ty sam, jest twoje ja; oto bóstwo, którego masz słuchać". Z chrystyanizmu biorą dziś tylko nastrój, a nie treść. I nie w ataku na wiarę, ale w prądzie samoubóstwienia jest dziś główne niebezpieczeństwo dla wiary i dla moralności. Zamiast tedy narzucać prawdę z góry, należy się ją starać wyprowadzać, gdzie się da — z głębi serca uczniów, a nie nadużywać autorytetu osobistego, który szkodzi podwójnie, gdy występuje bez miłości. Przez naukę wchodzę na teren przeciwnika, a przez *miłość* podbijam serca; wówczas młodzież znosi mi sama, co na dnie jej duszy jest schowane.

Korzeniem moralności nowoczesnej jest *egoizm.* Można go wyzyskać dla chrystyanizmu, gdy się zwróci uwagę na okoliczność, że dusza z wnętrzem przez egoizm wysuszonem stara się wejść w siebie, zajmuje się sobą, poważnieje. Nie trudno przedstawić w kazuistyce etycznej i przy Biblii, jakie szczęście wewnętrzne daje czyn dobry. Wykład należy wszelkimi sposobami wiązać z życiem, a przytem uplastyczniać wnętrze duszy ucznia i nanizać nici między wnętrzem a tem, co się wykłada. Uwzględniaj bacznie, co przemawia do serca, bo serce nieraz wprawdzie wątpi, ale też kocha i wierzy. Niestósowne są przeto dla nas przekłady podręczników niemieckich, raczej nadałyby się wzory francuskie.

We wychowaniu nie ograniczajmy się na *nakazy i zakazy,* ale wskazujmy, ile rzeczy wolno nam czynić, a wolno dlatego, bo

tamto niewolno. W ten sposób nie zniechęcimy ucznia do przykazań Bożych i kościelnych.

Prąd wsobny, jaki panuje dziś w psychologii, należy również mieć na oku i łączyć lekcyę z podkładem psychologicznym. Łatwo np. wykazać przy VI. przykazaniu, że zakaz myśli nieczystych nie jest surowy, ale całkiem naturalny i łatwiejszy do wykonania, a pewniej prowadzący do cnoty, niż zakaz samych tylko uczynków nieczystych. Całą głębię życia wewnętrznego, jakiego uczy Chrystus Pan, można związać ze wspomnianym prądem wsobnym.

Egoizmowi przeciwstawiać należy z jednej strony ducha wyrzeczenia się i ofiary, z drugiej *egoizm zdrowy*, czyli ziemską stronę życia chrześcijańskiego. *Nitsche i Tołstoj* zohydzili Ewangelię, odzierając ją ze szczęścia, jakie daje. Sama ofiara bez zdrowego egoizmu jest czemś jednostronnem.

Życie nadprzyrodzone podać należy w jasnym obrazie, gdzie na to miejsce, ale *nie ignorować czynnika natury* i cnót przyrodzonych, nie odmawiać np. miłosierdzia protestantom, miłości ojczyzny japończykom itp. Trzeba owszem pójść na teren przeciwnika i uznać cnoty naturalne, a wskazać tylko, o ile łatwiej można w nich postąpić przy pierwiastku nadprzyrodzonym. Asceza francuska, głosząc że wszystko, co naturalne, nic nie warta, doszła do tego, że urabiała świętych a zagubiała ludzi.

Stowarzyszenia religijne (sodalicye) są bardzo pożyteczne i potrzebne. Gdzie ich niema, a powstał wśród młodzieży *ruch etyczny*, należy się od niego nie odsuwać, lecz podnosić go zwolna do ideału chrześcijańskiego.

Nie lekceważmy *socyalizmu*, bo garnie on młodzież do siebie w imię ideału (Antoni Szech). Dawniej system szkolny wyzuwał młodzież z ideałów, dziś odziera ją z ideałów egoizm, a jednak to, co lepsze, rwie się do ideału. Stawmy zatem młodzieży przed oczy pozytywny ideał społeczny, chrześcijański, zwłaszcza w nauce etyki i przy historyi Kościoła— i dodajmy, że co socyalizm ma dobrego, wziął z chrystyanizmu. Nie wadzi też przyznać, że wskutek odbiegnięcia od ideału chrześcijańskiego krzywda dzieje się biedniejszym i zaznajomić z treścią encyklik społecznych Leona XIII. Uczniowie stać się mogą w ten sposób apostołami idei Chrystusowej i pójdą w lud...

JE. X. Arcybiskup wyraził nakoniec swą radość, że widział u uczestników kursu tyle poczucia konieczności zbliżenia się wzajemnego, tyle idealizmu troszczącego się o dobro dusz. Z otuchą spogląda w przyszłość społeczeństwa, które ma takich przewodni-

ków duchownych. Bodaj kurs ten nie był wypadkiem efemerycznym, bo dla osamotnionych jest on zarazem ochłodą dla serc i dla duszy! Ufa, że kursy tego rodzaju ujęte będą w pewien system ze względu na ich użyteczność.

Podziękowaniami serdecznemi JE. X. Arcybiskupowi, całemu Prezydyum, Wydziałowi Związku Katechetów jako komitetowi organizacyjnemu i wszystkim uczestnikom kursu—zakończono obrady.

Przed wyborami.

Zbliża się żniwo. Złote kłosy pszenicy a srebrne żyta wiatr falami porusza i tworzy z nich miły dla oka widok, a do uszu donosi szmer potrącanych kłosów. Rolnik wyszedł i patrzy a ogląda niwy swoje—spogląda w niebo i bada, co ono mu przyniesie — deszcz, burzę, czy pogodę. O bodajby pogodę przyniosło, a żniwo się opłaci i wynagrodzi trud całoroczny!

My już długie lata pracujemy w pośród ludu. Małe dzieci wprowadzamy do Kościoła przez Chrzest święty — rodzicom przypominamy ich obowiązki, jak mają pielęgnować i chować niewinne dusze dziatek, w katechizacyach karmimy je sami niebieską nauką, uczymy co złe a co dobre, złe obrzydzamy i wskazujemy im Sakrament Pokuty, przysposabiamy do niego—a potem mówimy o Najśw. Sakramencie i czujemy się niewymownie szczęśliwi, gdy szeregi dziatek po raz pierwszy do Stołu Pańskiego przyprowadzimy. Czuwamy dalej nad niemi głębszej udzielając nauki, tworzymy coraz to nowe róże młodzieńców i panien, podajemy do ręki różańce, wkładamy szkaplerze, dostarczamy czytania duchownego, zachęcamy do modlitwy, do czuwania, do częstej spowiedzi, aby uchronić młodzież od upadku, cieszymy się, gdy pobożność kwitnie — bolejemy, gdy coś niedobrego się zdarzy, wielkiej ulgi doznajemy, gdy młodzieńcy i dziewice wstępują w związki małżeńskie—mówimy: już teraz uratowani; błogosławimy im, cieszymy się ich radością i szczęściem— udzielamy rad na dalszą drogę życia, nawiązujemy miły z nimi stosunek prawdziwej przyjaźni; oni nam mają wiele do zawdzięczenia, my zaś wiele nadziei w nich pokładamy.

O jak długo trwa już ta praca! Teraz nadchodzi żniwo. I widzimy złotą pszeniczkę miłości Chrystusowej, srebrne żyto do-

brych uczynków. Czekamy, co teraz będzie? Jaki będzie owoc naszej pracy, gdy nadejdzie czas żniwa? Bo żniwo już się zbliża. Cały lud teraz ma pokazać, z kim trzyma, do kogo się przyznaje. Nie będzie mógł chromać na dwie strony— musi już oddać każdy swój głos i zaświadczyć: albo chcę we wszystkiem—więc i w życiu publicznem i w sposobie agitowania, trzymać się zakonu Bożego, albo szukam jedynie interesu partyjnego lub osobistego. Innego wyboru już być nie może. Bussola zakonu Bożego jest podwójnie konieczna dla tych, którzy teoryi rządzenia państwem nie znają, a jednak za pośrednictwem posła swego rządzić państwem mają.

Widzimy, jak wiatr kolysze dojrzałe łany w pośród naszego ludu. Wieje wiatr od socyalistów, wieje wiatr od ludowców — pszeniczka i żyto kołysze się, do nieba słychać szept: „O Boże, gdzie się mam zwrócić? Czy mam opuścić teraz swojego duszpasterza, któremu w najważniejszych sprawach zwykłem ufać? Wszak duszę moją jego kierownictwu powierzam, od niego oczekuję wyroku zbawienia lub uspokojenia!—Za kim pójdę? — Czy pójdę za nieprzyjaciółmi wiary—którzy z pochlebstwem na ustach do mnie przychodzą, chociaż kiedyindziej mię nie znali, ręki pomocnej nie podali, łez nie otarli, smutnego nie pocieszyli, chorego nie nawidzili, a teraz przychodzą poróżnić wiernych ze swoim duszpasterzem?

Co teraz robić?"

Z pewnością, każdy wieśniak dobrej woli, który powołany zostanie do urny wyborczej, przechodzić będzie taką walkę wewnętrzną. Jeżeli swych owieczek w tej walce nie wspomożemy, wiele ich pójdzie na lep słodkich słówek, zawierających truciznę duszy i nieprzyjaciel wiary świętej—Kościoła—Ojczyzny może odnieść zwycięstwo.

Więc do pracy! Widzimy, jak wielu kapłanów znoszą już ciężar dnia i upalenia, jak gorliwie pracują—opiekują się po miastach robotnikami, łączą ich w katolickie stowarzyszenia zawodowe—widzimy drugich, którzy po wsiach zakładają Spółki oszczędności i pożyczek i z poświęceniem oddają swój czas, swe zdolności ludowi, by go wyrwać z ubóstwa i w dobrobyt zaopatrzyć — widzimy innych, którzy dobre pisma i gazetki rozpowszechniają, wiece urządzają, by lud oświecić i do pracy obywatelskiej wprzągnąć ku dobru naszej Ojczyzny—a my jeszcze stoimy próżnujący? Pospieszmyż im na pomoc!

Jak to uczynić? Nie potrzebujemy do tego ani ambony ani konfessyonału, bo przed amboną mamy jeno łaknących słowa Bożego, a przy konfesyonale mamy grzeszników czekających na oczyszczenie. Nieprzyjaciele czekają na to, by choć jedno nieroztropne słowo padło z ambony—aby lud zrazić do kapłana; czekają nawet spowiedzi i patrzeć będą, kto nierozgrzeszony, aby powiedzieć, że to za politykę. Wszak chcieli nam nawet nałożyć kaganiec „Kanzelparagraph“, by nas do milczenia zniewolić! Pokażmy, że to było zbyteczne, że mamy wiele innych sposobów, by pouczyć nieumiejętnych i wątpiącym dobrze poradzić.

Dobry pasterz szuka swoich owieczek, nie czeka wygodnie, aż one same do niego przyjdą, więc i my szukajmy—wstąpmy do domów naszych parafian, pomówmy z nimi ze serca, pozwólmy się im wygadać, po ojcowsku wyjaśnijmy wszystko— zwołujmy sąsiadów na poufną naradę w sprawie tak ważnej—twórzmy i my komitety wyborcze, a wszędzie z miłością i dobrocią serca, bo na jednę kroplę miodu więcej dusz schwytamy niż na beczkę octu. Nikomu nie miejmy za złe, gdyby miał inne przekonanie polityczne; nasze słowo skłoni go do zastanowienia, a dobroć nie odepchnię go od nas. Gdyby jakikolwiek wiec miał się odbyć w parafii, nieopuśćmy go; idźmy nań z obowiązku jako pasterze za swemi owieczkami. Obecność nasza dobrym a przywiązanym do Kościoła doda otuchy, chwiejnych podeprze, zbłąkanych onieśmieli. A choćby mowca wiecowy naruszył cześć naszą, nie zrażajmy się tem, nie dajmy się wyprowadzić z równowagi i okażmy, że nie swego, ale owiec naszych dobra szukamy. Poznamy przytem różne życzenia naszych owieczek i wiele z nich potrafimy uwzględnić. — A może się uda przemówić parę słów do zgromadzonych, bo przecież parafianie pozwolą przemówić swemu duszpasterzowi — wtedy nie socyalistów i nie ludowców ale Chrystusowe będzie żniwo. Lud zrozumie łatwo, że obowiązkiem jego jest wybierać posła religijnego, zdolnego, pracowitego uczciwego bez względu na warstwę, z jakiej pochodzi. Te właśnie zasady przypominajmy, nie narzucając osób, w których doborze łatwo się omylić. Przypominajmy, że nowy parlament—jak zapowiadają partye radykalne—zajmie się sprawami sumienia, bo radykalni pragną usunąć religię ze szkół, znieść nierozerwalność związków małżeńskich, ograniczyć wolność słowa u kaznodziejów, w ogóle naśladować Francyę. Jeźli powtórzymy błąd katolików francuskich i dla miłego spokoju zaniedbamy pracy społecznej i wyborów, to skutki tesame nie miną nas z pewnością. Przypominajmy jednak, że non sunt facienda mala

†

ut eveniant bona, że agitacya za dobrem, ma być świadomą celu, odważną i konsekwentną, ale przytem wolną od nienawiści, od kłamstw i obelg, wogóle od wszystkiego, co niemoralne. Zadaniem naszem jest czuwać, aby okres agitacyi wyborczej nie zdemoralizował naszych owieczek i nie uwiódł ich na bezdroża. A więc do pracy — a bez zwłoki! *Ks. Jan Szewczyk.*

Nowe teorye w egzegezie katolickiej po soborze watykańskim [1].

Z początkiem obecnego stulecia sławiono w prasie światowej XIX. wiek ubiegły — jako wiek postępu! I słusznie! W porównaniu bowiem z poprzednim wykazuje on wielki postęp na wszystkich polach wiedzy ludzkiej. Sztuka, wiedza, technika, komunikacya, handel i gospodarstwo doszły do wysokiego stopnia rozwoju.

Trudno jest jednak uchwycić cechę charakterystyczną całego owego rozwoju! Sądy uczonych rozbiegają się, gdy się chce wysunąć na pierwszy plan wewnętrzną lub zewnętrzną kulturę narodów, religijne i etyczne lub empiryczne i materyalne kwestye, lub gdy się ma przedewszystkiem na względzie filozoficzne, historyczne lub przyrodnicze rezultaty osiągnięte!

Nazwano XIX. wiek wiekiem filozoficznym historycznym a i przyrodniczym i materyalnym ale i religijnym. Nie braknie też głosów, które uważają jako główną cechę XIX. stulecia sekularyzacyę umiejętności i piętnują je jako wiek antychrześcijański — co więcej jako ateistyczny.

Cecha powyższa XIX. wieku wycisnęła swe piętno także i na teologii w ogólności, a w szczególności na jednej z jej gałęzi tj. egzegezie. Chcąc poznać owe piętno, należy sobie uprzytomnić główne teorye, które się szczególnie przy końcu tego wieku wyłoniły.

Zaznaczam zaraz na wstępie niniejszej rozprawy, że egzegeta katolicki, chcąc komentować Pismo św. w myśl Kościoła, musi stanąć na gruncie inspiracyi ksiąg św., pojętej szczerze po katolicku, inaczej znajdzie się powoli w poglądach na Pismo św. i jego rozumienie w obozie racyonalistów i protestantów.

---

[1] Omawiamy dzieła egzegetyczne, jakie wyszły zwłaszcza od roku 1880.

Przytaczamy tedy kilka dowodów inspiracyi Ksiąg św., zaczerpniętych z samego Pisma św. I tak, gdy Faryzeusze— na pytanie postawione im przez Chrystusa: „czyim synem jest Chrystus?“ odpowiedzieli—że „Dawidów“— rzekł: „Jakoż tedy Dawid *w Duchu* zowie go Panem?“ (Mat. 22, 43). W Duchu należy rozumieć na mocy kontekstu— i „w Duchu św.“ — czyli, że Dawid pisząc psalm 109, w którym owe słowa przychodzą—pisał go pod wpływem Ducha św.

Również Piotr św., polecając zgromadzonym Apostołom w wieczerniku wybór Apostoła na miejsce samobójcy Judasza, tak mówi: „Mężowie bracia!— Musiało się wypełnić pismo, które opowiedział Duch św. przez usta Dawidowe o Judaszu“ itd! (Dzieje Ap. 1. 16).

Co Chrystus i św. Piotr. mówią o Dawidzie, że pisał pod natchnieniem Ducha św., to się odnosi także i do innych ksiąg św. Starego Zakonu. Dowodem tego słowa Chrystusa wypowiedziane do żydów: „Rozbierajcie pisma, bo się wam zda, że w nich żywot wieczny macie, a one są, które świadectwo dają o mnie“. (Jan św. 5, 39.)! Słowa: „*pisma*“ — to fraza używana w znaczeniu biblijnem—(usu loquendi biblico) na oznaczenie *Pisma św.*, a liczba mnoga dowodzi, że pod niemi należy rozumieć cały Stary Zakon.

Zresztą niech przemówi w tej sprawie św. Paweł: „Wszelkie Pismo (St. i N. Zakonu) od Boga natchnione—jest pożyteczne ku nauczaniu, ku strofowaniu, ku naprawieniu, ku ćwiczeniu w sprawiedliwości.“ (II. do Tymot. 3, 16). Nie inaczej twierdzi Piotr św. pisząc: „Albowiem wolą ludzką nigdy proroctwo nie jest przyniesione — ale Duchem św. natchnieni mówili ludzie święci Boży“. (II. św. Piotra, 1. 21).

Tak samo podtrzymują jednomyślnie charakter Boski Ksiąg św. Ojcowie i Pisarze kościelni. Nazywają oni księgi św, jako napisane pod wpływem Ducha św.—„listami Boga do ludzi.“ Tak Origenes, św. Chryzostom, Teodoret, św. Teofil Antyocheński, św. Atanazy, św. Augustyn i św. Grzegorz Wielki.

Powiadają oni, że „Pismo św. zostało wypowiedziane przez Boga“. Tak św. Klemens Rzymski, św. Ireneusz, św. Hippolit.

Twierdzą, że „Bóg spisał Pismo św.—i nam je podał“. Tak Klemens Aleksandryjski, św. Augustyn, Gelazyusz Papież i inni.

Tę samą prawdę wypowiedziały sobory, począwszy od rzymskiego, odbytego r. 382. za Damazego Papieża, a skończywszy na florenckim (1442), trydenckim (1556) i watykańskim (1870).

W konstytucyi dogmatycznej tego ostatniego „o wierze katolickiej“ czytamy: „Eos vero“ (libros V. et N. T.). Ecclesia pro sacris et canonicis habet..... propterea, quod *Spiritu sancto inspirante* conscripti Deum habent auctorem atque ut tales ipsi Ecclesiae traditi sunt“. (Zob. Denzinger Enchiridion n. 1636).

Prócz tego tenże sobór w czwartym kanonie: „o objawieniu“ wypowiedział słowa. „Si quis s. Scripturae libros integros *cum omnibus suis partibus*—prout illos sancta Tridentina Synodus recensuit, *pro sacris et canonicis* non susceperit aut eos divinitus inspiratos esse—negaverit, anathema sit“. (Denzinger l. c. 1656.).

Inspiracya tedy Ksiąg św. jest nauką wiary—określoną nieomylnie przez Kościół.

Z inspiracyi zaś Ksiąg św. wypływa per modum conclusionis absolutna ich bezbłędność (inerrantia) [1]), Irrtumslosigkeit [2]).

Bezbłędność absolutna Pisma św. wynika, jak to nadmieniłem wyżej, per modum conclusionis z samej definicyi inspiracyi. Trzy bowiem główne znamiona składają się na pojęcie inspiraracyi a) motio voluntatis auctoris, pobudzenie woli autora do spisania myśli Bożych, b) illuminatio rationis auctoris, oświecenie umysłu, by autora w sposób naturalny lub nadnaturalny obznajomić z prawdami i wypadkami, które mają stanowić według woli Bożej treść natchnionej księgi, c) auxilium Dei positivum, ustawiczna pomoc Boża podczas pisania, dla której autor św. spisuje w zupełności i z całą dokładnością myśli i prawdy Boże.

Ta właśnie ustawiczna pomoc Boża gwarantuje absolutną bezbłędność Pisma św.

Sobór Watyński określił nieomylnie inspiracyę Ksiąg św. jako artykuł wiary. To natchnienie odnosi się do wszystkich części Pisma św. Mówi bowiem sobór: „Si quis s. Scripturae libros integros *cum omnibus suis partibus* divinitus inspiratos esse negaverit... anathema sit“.

Nie określił jednak sobór rozciągłości czyli zakresu inspiracyi ani też nie ogłosił absolutnej bezbłędności Pisma św. jako artykułu wiary.

To też kardynał Franzelin w swym traktacie: „De divinis Scripturis“ nie wyciąga z orzeczenia soboru bezpośredniego, teo-

---

[1]) Zob. ks. Billot. De inspiratione s. Scripturae — theologica inquisitio Romae 1903.

[2]) Zob. Ks. Leopold Fonck. Der Kampf um die Wahrheit der hl. Schrift.—Innsbruck 1905.

logicznego dowodu na poparcie absolutnej bezbłędności Pisma św, której zresztą z całą siłą broni.

Na tem polegając niektórzy uczeni katoliccy wieku XIX, a chcąc usunąć trudności i zbić zarzuty stawiane przeciw Pismu św. na podstawie najnowszych badań na polu nauk przyrodniczych i historycznych oraz przez analizę krytyczną, zaczęli ograniczać inspiracyę do tych tylko części Pisma św., które dotyczą prawd wiary i obyczajów, w miejscach zaś Pisma św., traktujących o problemach wiedzy świeckiej, nieprzypuszczali natchnienia Ducha św. Tu przyznawali egzegecie wolność zupełną badania oraz przypuszczali możliwość błędów. (C. d. n.). *Ks. dr. St. Dutkiewicz* prof. stud. bibl.

Socyalistyczna lektura dla małych dzieci.

Zachłanność socyalizmu na każdem polu jest wszystkim dostatecznie znaną; chciałby on pod swój strychulec zrównać wszystko, zabić wszelką myśl swobodną nieodpowiadającą interesom i celom partyjnym, zatrzymać w swych rękach wyłączny przywilej na rząd dusz i serc ludzkich, słowem jednostkę rozpuścić w morzu kollektywizmu. A przyznać trzeba, że do celu swego umie zdążać systematycznie, krok za krokiem, choć na pozór wolno. Z bystrością ostrowidza dostrzega placówki dotąd niezdobyte, nie gardzi zajęciem chwilowo nie dość strzeżonej, choćby najmniejszej twierdzy, by raz ją opanowawszy szerzyć nieraz osłodzony dla niepoznaki jad trucizny.

Proces ten jest wszędzie jednaki, zarówno zagranicą, jak i u nas, tylko że u nas nie zawsze zwraca się nań odrazu uwagę, kiedy jeszcze złe można zabić w zarodku. Owszem zróżniczkowane życie społeczne w 3 zaborach ułatwia rozkrzewienie się zarazy, a częstokroć my Polacy mieszkający pod zaborem galicyjskim, — przyznajmy to szczerze — przyczyniamy się do tego przez swą grzeszną tolerancyę i niczem nieuzasadnioną kurtuazyę wobec ujemnych objawów ruchu socyalistycznego w innych dzielnicach. Gdy u nas w kraju zjawi się zła i zjadliwa książka socyalistyczna lub pismo socyalistyczne, piszemy i mówimy o nich, lubo i wtenczas niezawsze śmiało, stanowczo i z pogłębieniem swych zapatrywań, natomiast na tesame wybryki z za kordonu rosyjskiego patrzymy przez palce. Dochodzi do tego, że publikacye, literackie pisma illustrowane o najwyraźniejszej tendencyi socyalistycznej, czytamy

chętnie, popieramy, szanujemy, prenumerujemy, choćbyśmy byli zupełnie odmiennych przekonań, bo mają na sobie.... stempel pocztowy warszawski. Pod tym względem niepoprawni z nas romantycy: stoi nam jeszcze ciągle na oczach Warszawa-męczennica z r. 1863, a zapominamy, że ta Warszawa miała też swój 13. listopada 1904, od którego rozszalały się orgie walk socyalistycznych, rozpoczęte w sposób świętokradzki przez nadużycie kościołów do swych celów.

Świeżo zaczyna stamtąd płynąć do nas nowa, nieznana dotąd zaraza, będąca wyrazem niesłychanej, wyrafinowanej przewrotności, a dążąca do znieprawienia przez zręczną agitacyę socyalistyczną umysłów — naszej dziatwy. Mieliśmy i mamy w naszym kraju wydawnictwa, pisma socyalistyczne dla dorastającej młodzieży szkolnej, jak świadczy np. „Promień", nie brakło prób zupełnie nieudałych redagowania pisemka socyalistycznego dla dzieci (vide „Promyk"), ale zaszczytu pierwszeństwa w pomyśle obdarzania drobnej dziatwy socyalistycznemi książkami „na gwiazdkę" musimy stanowczo ustąpić... Warszawie. Mamy mianowicie na myśli nowe wydawnictwo gwiazdkowe niejakiego *Jakóba Mortkowicza* w Warszawie, którem zarzucono rynki księgarskie w grudniu ubiegłego roku, składające się z 11 książek dla dzieci. I dziwna rzecz. Kiedy prasa warszawska, niewyjmując „Tygodnika illustrowanego", którego chyba nikt z uważniejszych Czytelników nie posądzi o wrogie usposobienie względem socyalizmu, wyrazila się o nowem przedsiębiorstwie z pewnemi zastrzeżeniami, u nas, nasze pisma, nie wyłączając nawet ostrożnego zwykle „Czasu", z całą sprawą obeszły się lekko, delikatnie. No, ale co prawda, któremuż z naszych recenzentów chciałoby się dla recenzyi kilkudziesięciuwierszowej przewertować dokładnie aż kilkanaście książek i to dla dzieci...! Tembardziej zatem z poczucia sumienności publicystycznej musimy Szan. Czytelnikom przedstawić tę publikacyę w należytem oświetleniu.

Psychologicznie rzecz biorąc warszawska publikacya Jakóba Mortkowicza jest na miejscu, naturalną, wyrosła bowiem na bagnisku zdeprawowanego w znacznej części życia społecznego w zaborze rosyjskim. Na tej też psychologicznej podstawie zepsucia oparł ze sprytem właściwym rasie semickiej swą kalkulacyę finansową wydawca, by za jednym zachodem złowić 2 ryby: napełnić własną kieszeń i zdziałać wiele dobrego dla idei socyalistycznej.

Postarał się dla swych książek o szatę artystyczną, by zewnętrznym płaszczem złota pokryć łachman treści i pigułkę osło-

dzić, nadto o względną—jak na warszawskie stosunki wydawnicze—taniość. Co do treści, wydawszy okrzyk bojowy: „precz z fabrykowaną, specyficzną literaturą dla dzieci i młodzieży“, a temsamem potępiwszy wydawnictwa patryotyczne, szczero-polskie zasłużonych dotąd na tem polu firm polskich, woła w dalszym ciągu z komiczną emfazą, że chce dać młodzi „nie zdawkowy grosz frazeologii, ale słowo, które z głębi duszy naszej płynąc — rzadkie wyjątkowe przybiera kształty kryształu. Niecodzienne to słowo, gdyż nie chwila mu matką jest. Bowiem z miłości rodzi się, nie z miłości tego *co było*, albo *co jest*, ale z miłości tego, co będzie“. Przeszedłszy w ten sposób do porządku dziennego nad naszą przeszłością historyczną w książkach dla dzieci, musiał wydawca ograniczyć się w przeważnej części do przyswojenia językowi polskiemu dzieł obcych, bo tylko niektóre obce literatury porzuciwszy przeszłość jęły się przyszłości, w szeregu obrazów apoteozując proletaryat.

Tłómaczenia dokonała Janina Mortkiewiczowa w sposób niezręczny, niedokładny, zdradzający brak wniknięcia w ducha języka polskiego. Mamy więc przekłady z Anatola France'a, Gustawa af Geijerstama, Agota Gjemsa Selmera, Eugeniusza Demoldera, Ottona Ernsta itp. autorów znanych pewnym sferom z tego, że oni tylko wyłącznie „poza koniecznemi wymaganiami nowej pedagogiki i nowej etyki“ opisują „prawdziwe życie, plastyczną prawdę“. Na czem polega ta prawda? Na krańcowej, jak zawsze, u socyalistów wyłączności i jednostronności, pławiącej się w jedynie dobrym i pięknym świecie „proletaryatu“ (nazwa ta i „proletaryzm“ nieraz została użytą w tekście, by ją wbić dobrze w umysły 8-letnich dzieci), a poza nim widzącym tylko wstrętnych, we wszelkie wady wyposażonych „burżujów“. Najbardziej typowemi są pod tym względem 2 książki: Eugeniusza Demoldera „Serce ubogich“ i Ottona Ernsta „Historya młodego życia“. Pierwszy z nich, Belgijczyk, stara się wzbudzić u dzieci litość dla „ludzi nędznych i odzianych w łachmany“, którzy „wchodzą do fabryk i wychodzą z nich smutnymi wieczorem, a bywają wówczas tak czarni jak noc; mieszkają w lepiankach, pokrytych strzechą, albo w ponurych norach, o ile nie mieszczą się w szopach, szpitalach lub w więzieniach.... Bogaci i uprzywilejowani pogardzają nimi,... zowią włóczęgami lub proletaryuszami“. Tendencya walczy tu o lepsze z kłamstwem, boć wszyscy wiedzą doskonale, jak dobrze uposażonym jest pod względem materyalnym właśnie robotnik belgijski chcący uczciwie pracować. Otto Ernst usiłuje znowu w swej książce zapoznać mło-

dociane umysły ze współczesnem widowiskiem robotniczem, kreśląc rozwój i otoczenie dziecka proletaryatu.

W zbiorze są i utwory oryginalne. Przedewszystkiem spróbowała sił sama tłómaczka, Janina Mortkowiczowa, pisząc oryginalne opowiadanie dla młodzieży, osnute na tle współczesnych wypadków warszawskich p. t. „Stacho". Przeczytawszy wyjątek ze szumnego prospektu wydawcy, który żąda dla dzieci książek o „prawdziwej wartości artystycznej" i mówi, że „będzie tak, gdy taką książkę wysnuje z duszy talent, gdy tchnie w nią ducha artystycznego prawdziwa twórczość", przecieramy oczy ze zdumienia, jak podobnie licha, bezsensowna elukubracya, mogła się znaleść w tym doborze „artystycznym". Zagadkę wyjaśniają inne słowa prospektu, zdającego sobie z tego sprawę, że dusza dziecięca rwie się do patrzenia i do słuchania i że „gdy ujrzą, gdy usłyszą, zapadnie to tak głęboko w przepastne ogrody tych dusz wrażliwych, że zaprawdę nie zaniknie bez śladu...." O to właśnie głównie chodziło. Niech czytają, niech wchłaniają w siebie, „Stacha", a gdy podrosną staną się zupełnie przystępnemi dla idei socyalistycznej. Najlepsze bowiem dziecko zgruntowawszy to opowiadanie rozpolitykuje się, nauczy się, czego dotąd nie umiało: zakładać tajne związki, wydawać tajną, nielegalną literaturę, odbywać zgromadzenia wiece, radzić o swych sprawach bez udziału starszych, choćby tylko chodziło o przedstawienie amatorskie (bo mogliby krytykować), brać udział w pochodach demonstracyjnych itp. Nauczy się też i prawideł „nowej etyki", że kraść.... wolno. Czytamy to wyraźnie na str. 97. Gdy raz gajowy przepędził gromadę małoletnich złodziei leśnych, kradnących chróst i szyszki, Stacho „osłupiał". „Jakie miał prawo niszczyć ciężką pracę dzieci?" I ponieważ jeden z chłopców został przez niego pozbawionym owoców swojej pracy, sam Stacho poszedł kraść do lasu, by błąd na korzyść chłopca naprawić.

Ukoronowanie zbioru tworzą czytania dla młodzieży p. t. „Dla przyszłości". Składają się z 4 części: 1) My — ludzie i przyroda. 2) Religia w życiu ludzkości. 3) Człowiek i ludzie. 4) Własna bojaźń. Autorkami są: osławiona nauczycielka według wymagań „przyszłości" G. Sempołowska i J. Unszlicht-Bernsteinowa. Na powstanie podobnej książki mogły się złożyć tylko przewrotność potworna i krańcowy obłęd partyjny. Osnowa streszcza się w następujących poglądach: Życie lat ostatnich „przewartościowało" wiele wartości dnia wczorajszego, zrodziło potrzeby dnia jutrzejszego, oczekiwanego „z bólem utęsknienia". Dotychczasowe „wypisy"

nie są zastosowane do tych potrzeb jako luźny zbiór bez przewodniej myśli, głębszego podkładu, ideowej jednolitości. Należy więc dać młodzieży nowy, świeży materyał, by na nim sama omawiała rozmaite zagadnienia życia ludzkiego, zastanawiała się nad czynami i stosunkami ludzkimi, tworzyła nowe opinie moralne, nowe formy życia, „nową etykę". Materyału tego musieli dostarczyć bez żadnego okładu i ładu wybrani autorowie jak Mickiewicz, Słowacki, Żeromski, Reymont, Dygasiński, Orkan, Tołstoj, Zola („Germinal"), Staff, Wł. Nałkowski itp.

Czyż w obec tego wszystkiego nie będzie na miejscu przytoczyć parafrazę słów Tołstoja, pomieszczonych w tych wypisach „przyszłości" w innem znaczeniu:

„I dopuszcza się (człowiek) dla rozrywki czynów nizkich, okrutnych i zbrodniczych ze spokojnem sumieniem względem istot niewinnych i bezbronnych, szeregu gwałtów, za które powinien rumienić się ze wstydu". *W. K. M.*

Nauki rekolekcyjne miane dla wyższego gimnazyum.

2. *Życie w grzechach nie jest życiem.*

„Znam uczynki twoje, iż masz imię, że żyjesz, aleś jest umarły"—takie dziwne istotnie słowa czytamy w Księdze Objawienia, w rozdziale 3.—Ten człowiek, do którego one były powiedziane, żył wtedy na świecie, nosił imię pomiędzy innymi równocześnie żyjącymi, zajmował stanowisko, piastował urząd, robił niby co do niego należało—a przecież Ten, od którego wszelkie życie pochodzi i który na wskroś przenika każdego człowieka, mówi do niego: ja ciebie znam i wiem o wszystkich twoich uczynkach; ty masz tylko imię żyjącego, ale na prawdę, chociaż ty o tem nie wiesz, tyś jest umarły. Więc z jednej strony on niby żyje, sam się uważa za żyjącego, inni go również za takiego uważają, z drugiej strony Pan życia i śmierci powiada: tyś jest umarłym, podobnym do trupa chodzącego. Jakże to rozumieć? Wyjaśnienie tej życiowej zagadki znajdziemy w Ewangelii świętej, a mianowicie w przypowieści o marnotrawnym synu, którą gdy kto raz usłyszał, już jej nigdy nie zapomni. Lekkomyślny młodzieniec zażądał od ojca tej części, która na niego przypadała i otrzymawszy ją bez żadnej trudności opuścił dom rodzicielski, puściwszy się w świat daleki i szeroki, aby używać przyjemności światowych.

Nie krępował się niczem, ani Boskiem prawem, ani niczyjemi uwagami—co chciał, to czynił, czego jego serce zapragnęło, co się oczom jego spodobało, tego sobie nie odmawiał. Bojaźń Boża, głos sumienia, doświadczenie starszych, nawet i wstyd przed ludźmi, były w jego oczach przestarzałymi przesądami, którymi nie wartało się zajmować. I tak pędząc życie zrobił w świecie — nie ma co mówić — świetną karyerę, bo gdy wszystko, co otrzymał od ojca, przetracił, przyciśnięty głodem zgodził się na pastucha dla trzody chlewnej. Szczęściem dla niego było, iż sobie jeszcze przypomniał na ojca swego i postanowił wrócić do niego, wyznać przed nim swój grzech i prosić o przyjęcie pod dach rodzicielski chociażby za ostatniego sługę.

Ojciec, jakby tylko czekał na jego powrót, przyjął go w otwarte ramiona, przywrócił mu prawo synowskie, z wielkiej nawet radości wydał świetną ucztę, na której wyraził się do obecnych, iż się trzeba radować, bo ten syn jego, który był zginął, teraz się znalazł, który już był umarł, teraz znowu żyje. Więc ten ojciec ewangeliczny miał swojego syna za umarłego, chociaż ten żył i używał na świecie. I rzeczywiście takiego życia, jakie on prowadził i jakie prowadzi wielu innych jemu podobnych, nie można nazwać życiem w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Życie może tylko wtedy być życiem prawdziwem, jeżeli ono odpowiada swojemu celowi, jeżeli najpierw ja wiem, od kogo i na co otrzymałem to moje życie, jeżeli wiem, że ja człowiek, ja najszlachetniejsze stworzenie na ziemi, z którem żadne inne równać się nie może, otrzymałem życie od najmędrszego Stwórcy świata, że On mię powołał do życia, On wyposażył w te zdolności i siły, jakie mi do życia były potrzebne, On mi dał rozum, abym mógł wyrozumieć z tego, co widzę i co słyszę naokoło, Jego potęgę, dobroć i mądrość, abym Go mógł poznać, a poznawszy uwielbiać Go, jak na to zasługuje, On mi dał różne środki do rąk, abym przy moich zdolnościach pracując uczciwie mógł życie swoje wypełnić pięknymi czynami, On wlał w moje serce pragnienie niezmiernego szczęścia i to szczęście On mi przygotował w innym, nie w tym przemijającym świecie, gdzie na mnie On czeka, jak czekają nieraz ojciec i matka na powrót swojego syna powracającego z dalekiej krainy.

Jeżeli to wiem i według tej wiedzy postępuję, wtedy żyję na prawdę, żyję tak, jak mi Bóg przeznaczył, żyję z pożytkiem dla drugich, żyję dla swojego własnego szczęścia, żyję dla chwały mego Stwórcy. Niedawno wpadła mi do rąk broszurka niemiecka pod tyt.: Wie lebt man glücklich?—i pierwszą odpowiedź, jaką się w niej czyta na to tak żywotne pytanie brzmi tak: Man lebt glücklich, wenn man weiss, wozu man lebt? Cel życia ludzkiego, cel jasny i piękny

wskazuje Chrystus i jego nauka; lepszego celu nikt nam wskazać nie potrafi.

Jeżeli się tedy tego celu nie zna, albo co gorsza, jeżeli się nic o nim wiedzieć nie chce, jeżeli kto żyje bezmyślnie albo lekkomyślnie, jeżeli kto myśli, iż życie ludzkie nie ma żadnego celu, jeżeli się żyje bez Boga, bez oglądania się na to, co Bóg nakazał albo zakazał, jeżeli główną sprężyną wszystkich zabiegów człowieka będzie jego samolubstwo i dogadzanie sobie na wszelkie możliwe sposoby, to życie takie nie jest właściwie życiem, ale jest ustawicznem zabijaniem drogiego czasu, niszczeniem swojego zdrowia, swoich sił i talentów, gotowaniem sobie smutnej przyszłości i zarazem okropnej wieczności.

Był niedawno w tem gimnazyum jeden student, który miał i zdrowie i co jeść i w co się ubrać, miał talent i dostateczne środki do dalszego kształcenia się, bo mu na to nie żałowano. Czynił nawet wcale dobre postępy w naukach, zdał bez trudności maturę, udał się na akademię, uczęszczał tam przez dwa lata, potem wziął do ręki rewolwer i w zamiarze samobójczym strzelił do siebie, poranił się i w mękach zakończył życie w szpitalu; tak się skończyło to młode życie.—Prawda, że się skończyło zanadto prędko i bardzo smutno? A czemu? Bo takie życie, jak on je prowadził, nie wartało nazywać się życiem, jemu samemu życie takie obrzydło, on sam to czuł, że lepiej nie żyć, lepiej umrzeć, niż żyć w ten sposób. Zatruty lekturą, jaka się i wam zewsząd narzuca, ten nieszczęśliwy młodzieniec stracił zupełnie wiarę, żył bez Boga, bez religii, bez dogmatu i bez zasad etycznych. Kiedy go jedna pani jako akademika zapytała, czy pójdzie z nimi do kościoła, odpowiedział „cobym ja tam w kościele robił!"

On kościoła już nie potrzebował, modlitwy nie potrzebował, Pana Boga nie potrzebował. Boga, do którego się dawniej modlił, opuścił, to też i łaska boska go opuściła, a kogo łaska opuści, temu w życiu towarzyszy jak złowrogi cień na każdym kroku zwątpienie, które w przykrzejszej chwili łatwo przemienia się w rozpacz, a od rozpaczy do samobójstwa jest tylko krok jeden. Smutna dla każdego ateusza przedstawia się przyszłość i okropna wieczność.

Ale na to słowo: „okropna wieczność" podniesie może głowę jaki niedowiarek i rzecze: jaka okropna wieczność? Ze śmiercią wszystko się kończy. — Nie kończy się, bo człowiek w śmiertelnem ciele nosi ducha nieśmiertelnego. Chociażby stu i tysiąc niedowiarków tak mówiło, nie mówi tego cała ludzkość.

Wszystkie ludy i narody, jakie były i są teraz, czy one są dzikie czy ucywilizowane, mają głębokie przeczucie, że z ostatniem tchnieniem człowieka nie kończy się cała jego egzystencya, że człowiek

wtedy składa tylko ze siebie ciało jakby tymczasową obsłonę ducha i dostaje się w świat inny. Ta powszechna wiara w życie pozagrobowe jest głosem ludzkiej natury, a natura nigdy człowieka nie zwodzi, jak twierdzą najgłębsi myśliciele ludzkości. Z pomiędzy wielu innych przytoczę ze starożytnych czasów słowa filozofa *Celsusa*, który chociaż poganin tak mówi: „Chrześcijanie mają słusznie utrzymując że ci, którzy prowadzili życie cnotliwe, po śmierci zostaną wynagrodzeni, a występni mają karę ponieść — to przeczucie jest im wspólne z całym światem“. Z nowszych zaś Rousseau, który wcale nie oglądał się na naukę chrześcijańską, w tym przedmiocie tak się wyraża: „Żadne wykręty fałszywej nauki nie doprowadzą mię do tego, abym chociaż na chwilę miał powątpiewać o nieśmiertelności duszy; ja tę prawdę czuję w sobie, ja jej pragnę, ja jej będę bronił do ostatniego tchu.“

Były i są pomiędzy ludźmi mętne pojęcia pod względem życia pozagrobowego; na to się jednak cała ludzkość zawsze zgadzała, że tam każdego przychodzącego z tego świata spotyka wymiar sprawiedliwości, której tu każde prawe sumienie człowieka zawsze się dopominało, a niestety często nadaremnie. Aby te mętne pojęcia usunąć, aby sprawę tak dla nas ważną zupełnie rozjaśnić i żadnej wątpliwości nie pozostawić, abyśmy najwyraźniej wiedzieli, czego się po śmierci z jednej strony możemy spodziewać, a z drugiej obawiać, Ten, który, jak mówił przed Piłatem, na to się narodził i na to przyszedł na ten świat, aby dał świadectwo o prawdzie, który prawdę znał, prawdę mówił i za prawdę życie oddał, czyż powiedział kiedy, że poza grobem nic niema? Znane są Jego słowa o sądzie ostatecznym, na którym wszyscy sprawiedliwi staną po jego prawicy, źli zaś po lewicy i że ma powiedzieć do pierwszych: *Pójdźcie błogosławieni Ojca mojego, posiądźcie królestwo zgotowane wam od założenia świata;* do drugich zaś: *idźcie przeklęci odemnie w ogień wieczny!* a to wszystko ma się dziać dopiero poza grobem, w innem życiu, w innym świecie. Znaną jest także jego przypowieść o nielitościwym bogaczu i o Łazarzu, którego duszę aniołowie zanieśli z barłogu w górną krainę, bogacz zaś umierając wpadł w otchłań piekielną, gdzie, jak się sam skarżył, wielką mękę w płomieniach ponosił i nadaremno o kroplę wody na ochłodzenie swojego języka prosił, i aby jego bracia tam, gdzie on już był, nie przyszli za podobne życie, o wysłanie do nich z przestrogą jednego z umarłych żądał.

Chociaż i takiemu żądaniu, aby coś i z tamtego świata zjawiło się i powiedziało, co tam jest, niekiedy staje się zadosyć. Oto w Rzymie w r. 1873. na kilka dni przed świętem Wniebowstąpienia Pań-

skiego zaszedł następujący wypadek. W jednym publicznym domu, w norze rozpusty, skaleczyła się w rękę przypadkowo jedna z tych nieszczęśliwych istot, które się nierządowi oddają. Rana okazała się dość głęboką, więc oddano ją do szpitala, ale i tu czy z powodu złego leczenia czy z innego powodu, przyszło zdaje się zakażenie krwi i dziewczyna umarła nadspodziewanie prędko jednej nocy. Tej samej nocy i tej samej chwili, kiedy w szpitalu umarła, w domu nierządu, gdzie była, jedna z jej koleżanek wydała ze siebie krzyk tak rozpaczliwy i przejmujący, że się na ten krzyk zbiegli nietylko sąsiedzi, ale wkroczyła nawet policya.

Skąd był ten krzyk i dlaczego? Oto ta, co zmarła w szpitalu, ukazała się swojej towarzyszce, otoczona płomieniami i rzekła do niej: Jestem potępiona, a jeżeli ty nie chcesz być tak samo potępioną, opuść to miejsce hańby, a nawróć się do Boga, któregoś opuściła!

Nazajutrz dowiedziano się, że istotnie w szpitalu ta pierwsza zmarła o tej samej godzinie, gdy ją ta druga w owej przerażającej postaci ujrzała; nic ją też nie mogło zatrzymać w tej przeklętej norze. Właścicielka tej nory również ciężko zachorowała; posłano po kapłana, który za zezwoleniem swojej władzy kościelnej przybył na miejsce. Był nim proboszcz ks. Sorelli, który przed zaopatrzeniem chorej świętymi Sakramentami zażądał od niej przyrzeczenia, iż według możności to zgorszenie, które szerzyła, naprawi. Chora wszystko przyrzekła i po niejakim czasie w przytomności tego kapłana i dwóch policyjnych ajentów skonała. Cały Rzym o tem wiedział; a dzienniki cóż na to? Dzienniki to jak i ludzie różnego kalibru. Jedne o tem nic wiedzieć nie chciały, więc milczały, aby swoich czytelników nie straszyć; inne nawet z tego szydziły, przekręcając to co było faktem na swoje kopyto — byli jednak i tacy, którzy to co było i jak było, dobrze sobie zapamiętali i zbawienną ztąd przestrogę odnieśli.

Nawet w mojem własnem życiu zaszedł taki wypadek, który każdemu nieco uważniejszemu człowiekowi dałby trochę do myślenia. Było to w roku 1871. w pierwszych dniach stycznia. Przybywszy po interesie do Krakowa zanocowałem w jednem miejscu z drugim odemnie wówczas starszym mężczyzną. Zanim się udałem na spoczynek pomodliłem się pierwej odmawiając brewiarz, co widząc mój towarzysz, zaczął sobie żartować z mojej modlitwy i z tego, że się jako młody ksiądz Panu Bogu pochlebiam. On zdaje się już nie uważał za potrzebne—mówiąc jego językiem— pochlebiać się Panu Bogu, bo bez modlitwy, bez żadnego pacierza wieczornego, zapaliwszy sobie za to cygaro, położył się do łóżka.

†

Jakoś tu zimno! — odezwałem się potem do niego. — Zimno! zimno! ale w piekle będzie cieplej! to były ostatnie jego słowa, jakie wyrzekł w tem życiu, bo z rana był już zimnym trupem — zasnął po wyrzeczeniu tak przerażających słów i więcej się nie obudził.

Takie więc gadanie, że ze śmiercią kończy się wszystko, że z człowieka wyjdzie para i nic nie zostanie, jest tylko „pium desiderium“, pobożnem życzeniem ludzi bardzo niepobożnych, których dusza jęczy nieraz w trwodze o to, co się z nią stanie kiedyś — a oni na uspokojenie tej dusznej trwogi mówią sobie: cicho bądź duszo, nic ci się nie stanie, ze śmiercią kończy się wszystko. Tak mówiących możecie słyszeć prostych pijaków, nie umiejących czytać i pisać, również tak mówią zwyczajne rzezimieszki i inni, którzy z kodeksem karnym nie raz byli w konflikcie; można dodać do nich zarozumiałych pyszałków, chcących zawsze i wszędzie wyróżniać się od ogółu. Wszyscy ci, co zaprzeczając istnieniu duszy, mówią „pro domo sua“, mają w tem własny interes. Jeden znakomity filozof francuski, nazwiskiem La Bruyère tak mówi: „Chciałbym napotkać człowieka trzeźwego, wstrzemięźliwego, czystego, sprawiedliwego, któryby zaprzeczał istnienia Boga albo nieśmiertelności duszy — taki przynajmniej byłby bezstronnym, ale takiego nikt nie znajdzie“.

Człowiek tedy, który stracił wiarę i który niby żyjąc dogadza jedynie swojemu „ja“, swojej pysze i żądzom, właściwie nie żyje, ale pędzi czas i zużywa swoje siły na to tylko, aby siebie zgubić czyli zgotować sobie śmierć wieczną. Takiego zmarłego na duchu przedstawiał ów młodzieniec z Naim, którego niesiono do grobu, za takiego uważał się także św. Augustyn w swoich młodych latach, i gdyby nie łzy i nie modlitwy jego matki Moniki, byłby się zmarnował jak wielu innych, światby o nim nic nie wiedział; niktby nie słyszał, czy był tu jaki Augustyn, a dusza jego byłaby w tej otchłani, gdzie ogień nie gaśnie i robak gryzący sumienie nie umiera. Dlatego też on wdzięczny swojej matce powiada, że ona była mu podwójnie matką, raz, iż go na ten świat wydała, a powtóre że go przez swoje przedstawienia, przez swoje łzy i modlitwy uratowała od śmierci wiecznej. Jezus ubolewa nad każdą taką matką, która musi płakać nad zgubą swojego syna i jeżeli ta matka zbliża się ze swojemi gorzkiemi łzami do Niego, On jej powie te pocieszające słowa: „nie płacz“ i zatrzyma swoją Boską ręką nieszczęsnego jej syna lecącego na zatracenie, wskrzesi w duszy jego tę chrześcijańską wiarę, która prowadzi do żywota, przywoła go, jakby z letargu obudzonego, do ocknięcia się i zastanowienia nad sobą: i w tem jest największa łaska Pana Boga, takie uratowanie straconego młodzieńca.

Jakże się cieszyli mieszkańcy miasta Naim, kiedy widzieli ową biedną wdowę wracającą do domu razem z swoim synem, którego niesiono już do grobu! Jak wszyscy, a osobliwie oni obydwoje, musieli wysławiać potęgę i dobroć tego Jezusa, który takiego cudu dokonał! Większą jeszcze mają radość wszyscy mieszkańcy niebieskiej Jerozolimy i wszyscy prawdziwi wyznawcy Chrystusa na ziemi na widok chrześcijańskiego młodzieńca, który z drogi zepsucia i zatracenia powraca na drogę prawdy nieomylnej, bo od Boga objawionej, na drogę cnoty i obowiązku, bo ten, którego można było uważać za zgubionego, znalazł się, i za umarłego, a oto na nowo żyje.

X. Jan Jaworski, kanonik katedralny.

Odpytywanie katechizmu.

Niejednokrotnie już roztrząsał *Dwutygodnik* kwestyę, co i jak należy memoryzować z katechizmu, uwzględniając rezultaty badań psychologicznych. *Illustrowany Katechizm* średni i krótki wskazują to praktycznie, ograniczając odpowiedzi do memoryzowania do 50 lub 60 na cały rok, a nawet podając w uwadze instrukcyę króciuchną, jak należy uczyć katechizmu i jak go memoryzować. Mało natomiast zajmowaliśmy się dotąd kwestyą odpytywania katechizmu, uważając ją za rzecz nader prostą. Nie możemy jednak przemilczeć uwag, jakie pod tym względem wypowiedział dr. Weber w dziele „Münchner Katechetische Methode“ (str. 175 do 189).

Jako zasadę przyjąć należy, by każdy uczeń na każdej lekcy był wywołany do odpowiedzi i to przynajmniej dwukrotnie: raz na początku godziny przy odpytywaniu lekcyi poprzedniej, drugi raz przy przerabianiu lekcyi nowej. Z wielu względów jest to koniecznem. Rodzice zapytują zwykle dziecko, czy było „pytane“ i jak odpowiedziało; jeźli mijają tygodnie, a katecheta nie wywołał dziecka do odpowiedzi, zrażają się i narzekają, że ich dziecko chodzi do szkoły nadarmo, a śmielsi proszą nawet katechetę, by ich dziecko częściej zapytywał. I mają zupełną racyę. Dziecko, niezapytywane przy przerabianiu nowej lekcyi, przestaje uważać, staje się roztargnionem, apatycznem i coraz mniej z nauki korzysta. Dziecko znów, rzadko odpytywane z lekcyi zadanej, staje się opieszałem i wnet przestanie się uczyć, a co najwięcej zacznie spekulować i obliczać, kiedy może przyjść na nie kolej, uczy się tylko niektórych partyj, zaczem z nauki religii pożytku dla życia mieć nie będzie. Wprawdzie

zalecać trzeba, by dziecko uczyło się z pobudek wyższych, w duchu szczerej miłości ku Panu Jezusowi ukrzyżowanemu, ale trzeba też liczyć się z jego słabą naturą i pamiętać o tem, że malec, napracowawszy się nad katechizmem, pragnie, by katecheta uznał jego pracę, by się przekonał, że dziecko umie lekcyę, chociażby go zresztą wcale nie chwalił. Satysfakcya moralna, jakiej wówczas dziecko doznaje, pobudza je do pilności stałej; próżniak nawet uczy się jako tako, gdy wie, że próżniactwa swego ukryć nie potrafi, bo na każdej lekcyi będzie odpytany. Zadawać na pamięć a mało odpytywać lub nie odpytywać—równa się w praktyce niezadawaniu, bo uczniowie przestaną się uczyć (z kilkoma może wyjątkami), a nawet jest gorszem, bo demoralizuje, pobudza do świadomego lekceważenia obowiązków. W tem też widzimy powód zjawiska, że uczniowie nieraz uczą się w domu wszystkich przedmiotów, a tylko religii wcale się nie uczą. Gniew katechety i kary przeróżne złemu nie zaradzą; raczej należy ulepszyć metodę wykładu i odpytywać każdego ucznia na każdej lekcyi.

„Nie myślę protestować — powie ktoś — bo rzeczy to znane w teoryi oddawna, ale czyż można wykonać je w praktyce przy obecnem przepełnieniu klas? Gdy zechcę przepytać wszystkich uczniów, stracę na to pół godziny lub nawet trzy kwadranse i nie mogę potem przerobić metodycznie nowej lekcyi — gdy zaś chcę sobie zarezerwować na nową lekcyę trzy czwarte części godziny, to na odpytanie poprzedniej zostanie mi tylko kwadrans na początku godziny, a w kwadransie mogę odpytać zaledwie kilkunastu uczniów."

Ubolewamy szczerze nad fatalnem przepełnieniem w szkołach, bo ono nie pod tym jednym tylko względem fatalne skutki wydaje, piszemy się też w całości na żądanie dra Webera, by pod żadnym warunkiem nie skracać czasu na porządne przerobienie nowej lekcyi, ale twierdzimy, że można i należy obmyślić sposoby, jakby wciągu dziesięciu minut lub kwadransa odpytać całą klasę. Oczywiście mówiąc o odpytywaniu całej klasy nie myślimy o odpowiedziach chórowych, bo te są jedynie ćwiczeniem, memoryzowaniem, a nie pozwalają przekonać się o pilności i wiadomościach każdego ucznia.

Łamał sobie nad tem głowę dr. Weber, który przeznacza na odpytywanie tylko 10—12 minut, czynił doświadczenia najrozmaitsze, aż wreszcie doszedł do praktyki następującej:

„Nie stawiam nigdy pytań! Każdy uczeń musi odpowiadać całem zdaniem. Jeźli katechizm nie podaje odpowiedzi całem zdaniem, musi ją sobie uczeń uzupełnić. Jestto wprawdzie utrudnienie stanowcze, ale przecież rzecz to łatwiejsza dla uczniów i ztąd poradniejsza

niż wymaganie, by uczeń memoryzował *pytanie i odpowiedź*. Odpowiadanie idzie bez przerw, a to cieszy dzieci i *oszczędza wiele czasu*. Katecheta zatem przez pierwsze dziesięć minut nie robi nic więcej, jak tylko wymienia od czasu do czasu nazwisko ucznia.“ Wystarczy także wskazać ucznia palcem, by i na nazwiska czasu nie tracić, ale należy zapytywać „na wyrywki“, a nie po kolei. Dr. Weber obmyśla ciekawe klucze, które mają upewnić katechetę, że nie pominął żadnego ucznia, a przecież nie dać uczniom sposobności do spekulacyj, ale klucze jego są tak zawiłe, że więcej uwagi wymaga pamiętanie o kluczu aniżeli oryentowanie się zapomocą wzroku o tem, który uczeń nie był jeszcze zapytany.

„Wystarcza najzupełniej, by każdy uczeń wypowiedział *jednę* odpowiedź katechizmową... bo nie może obliczyć, której odpowiedzi od niego się zażąda. Tylko w tym razie można odpytać wszystkich uczniów... Pytać się powinno bez notesu, który zajmuje katechecie wiele czasu i nie pozwala mu badać indywidualności uczniów.“

Dr. Weber twierdzi nawet, że w tym razie rzadko tylko wypadnie upomnieć ucznia leniwego, bo brak odpowiedzi dobrej, względnie „stękanie“ po kilku innych odpowiedziach szybkich, robi wrażenie tak fatalne, że zawstydza opieszałego dostatecznie i podnieca go do pilności.

Spróbowaliśmy w szkole sposobu Dra Webera i stwierdziliśmy, że do większości uczniów da on się zastósować (odpowiedzi bez pytań); tępszym, a zwłaszcza roztargnionym, trzeba postawić pytanie, ale i to z czasem coraz rzadziej. Pierwsze próby wypadają oczywiście nie najlepiej, ale rychło da się doprowadzić do tego, że 60-ciu uczniów można odpytać w przeciągu 10 minut. W porównaniu z Drem Weberem mamy ułatwienie, że wszystkie odpowiedzi katechizmowe są u nas wyrażone całemi zdaniami. Jeszcze praktyczniejszym okazał się pod tym względem *Wyciąg z Krótkiego Katechizmu* X. Biskupa Likowskiego w wydaniu tarnowskiem (po 24 hal.), w którym (jak wiadomo) niema wcale pytań. Dzieci z Wyciągu tego uczą się samych tylko odpowiedzi i łatwo potem wypowiadają owe odpowiedzi jedne po drugich bez pomocy pytań. Przy kilkunastu uczniach, którzy posługują się takim *Wyciągiem*, zaprawiają się wnet do odpowiadania lekcyi zadanej bez pytań i ci, którzy mają Katechizm Krótki z pytaniami. Przy opracowaniu i czytaniu nowej lekcyi forma *Wyciągu*, jak wielu Współbraci już stwierdziło, nie nastręcza także trudności uczniom. Bądź co bądź warto spróbować każdemu sposobu zaleconego przez Dra Webera. Może być, że nie dla każdej indywidualności okaże się on stósownym, ale wielu katechetom odda zapewne usługi

znaczne. Wdzięczni będziemy za informacye o rezultatach owych prób, ale prosimy nie wydawać sądu przed próbą przynajmniej 10-krotną.

Jednę jeszcze trafną uwagę Dra Webera pragniemy przytoczyć. Zaznacza on, że z reguły pewna nieznaczna tylko ilość uczniów okaże się przez dłuższy czas opieszałą w memoryzowaniu lekcyj; gdy się zechce zbadać powody, przekona się najczęściej, że opieszałość owa jest poniewolna, jest wypływem nienormalnych stosunków rodzinnych lub społecznych. Ponieważ w takich razach uczeń nie jest winnym, przeto nie powinno się go karać, lecz należy złemu zaradzić. Nie zawsze da się przeprowadzić sanacyę stosunków rodzinnych, ale zawsze można zachować tę ostrożność, by uczniów takich nie wywoływać pierwszych do odpowiedzi. Na wstępie lekcyi powinno się odpytywać tych, którzy mają dobrą pamięć i żyją w pomyślnych stosunkach rodzinnych, następnie pyta się innych mniej zdolnych ale pilnych, a wkońcu dopiero pyta się nieszczęśliwych, o których wspomnieliśmy. W ten sposób i oni unikną zawstydzenia i odpowiedzą lekcyę należycie, bo nauczą się jej w samej szkole, słysząc ją tylekroć powtórzoną przez innych uczniów. Zadowolenie wewnętrzne — dodajemy — jakie sprawia uczniowi odpowiedź dobra, daleko skuteczniej pobudza go do uwagi przy przerabianiu nowej lekcyi itp., niż ewentualne upomnienia i nagany, które zresztą niezawsze byłyby usprawiedliwione. Owszem uczniowie przywiązują się nawet do katechety, bo się przekonują, że nie zależy mu wcale na „wyłapaniu" słabo przygotowanych, ale rad jest, gdy i ci chociażby w szkole się nauczą i dobrą dadzą odpowiedź. Jakoż praktykę tę zalecamy gorąco.

WSPOMNIENIA z LITWY.

Dlaczego Litwini obecnie kłócą się z Polakami?—Lud.—Szkoły na Litwie i Żmudzi.—Popi prawosławni.

W czasie mego pobytu zjeżdżali się do seminaryum duchownego klerycy po skończonych wakacyach we wrześniu.

Z okna mieszkania przyglądałem się dorożkom, zajeżdżającym przed bramę.

Na ten widok myślałem: I po cóż waśń narodowa dzieli tę pełną nadziei młodzież? Czemu Litwin zacięcie kłóci się z Polakiem? Czemu w zgodzie nie mogą żyć dwa bratnie ludy?...

Za wspólną sprawę narodową, za wolność się bili Polak i Litwin. W Kownie np. zginął gorący patryota X. Mackiewicz.

Murawiew Wieszatel powiada w swych pamiętnikach, że to był człowiek nadzwyczaj zręczny, czynny, rozumny i fanatyk. „Posiadał on wpływ niezmierny na lud, bezustannie formował nowe partye i zjawiał się w różnych miejscowościach gubernii. Chociaż partye jego często bywały rozbijane przez nasze wojska, on sam jednak zdołał zawsze się wyśliznąć pogoni i formował nowe... W sierpniu i wrześniu 1863 jeszcze się wałęsał po gubernii Kowieńskiej i wszędzie pobudzał do powstania. W końcu zaś listopada, nie widząc już możności podtrzymywania buntu, zdecydował się uciec za granicę, lecz został pochwycony przez oddział naszych wojsk nad samym prawie Niemnem ze swoim adjutantem i kasyerem; przywieziony do Kowna i za wyrokiem sądu powieszony (w roku 1864)“... [1]).

Polak i Litwin razem cierpieli knut i Sybir, kajdany i lochy więzienne, ta sama tęsknota pożerała serca wygnańców zdala od rodzinnej ziemi.

Kto temu winien, że ten smutny zaznacza się rozdział? Szowinizmu narodowego matką jest egoizm, namiętności nurtujące w sercach. Z serc tych na papier żółć się przelewa i objawia się deklamacyami na zebraniach publicznych, o ile były dozwolone na Litwie.

Twierdzą zagorzali patryoci litewscy, że ruchy wolnościowe polskie, powstania, sprowadziły na kraj ich ucisk srogi i długi.

Przyznaję, że jest w tem nieco prawdy, że nieudane, niepomyślne walki sprowadziły dużo nieszczęść tak na Polskę, jak i na Litwę.

Ale czyż i bez tego nie ciążyło jarzmo na obydwóch narodach? Czy inne ludy pod berłem rosyjskiem nie cierpiały wcale? Inne twierdzenie, że Litwa dawniej, kiedy nie znała wiary katolickiej, ale czciła swe bogi, była potężniejszą, szczęśliwszą, niż od czasów przyjęcia chrztu i zjednoczenia się z Polską.

Zarzut ten nie jest nowy—ale znany. Wszak już pogańscy pisarze rzymscy umieli wszelkie nieszczęścia przypisywać chrześcijanom i nauce Chrystusa Pana. Zniszczyło trzęsienie ziemi kwitnące miasta, wylał Tyber i spustoszył pola urodzajne, wybuchła zaraza albo wojna pożerała kwiat ludności, szukano sprawców, winowajców i znajdywano ich w uczniach Jezusa Chr., oni byli kozłami ofiarnymi. Zaraz mówiono, że bogowie zsyłają chłosty za kult zaniedbany, za politeizm porzucony dla zazdrosnego Boga, Jezusa Chrystusa, który nikogo obok siebie nie może i nie chce cierpieć, ale wyłącznie, niepodzielnie domaga się czci dla Siebie.

---

[1]) Str. 60 Pamiętników.

Apologeci chrześcijańscy wielokrotnie zbijali ten błahy zarzut, pytając, czy niedołężne bogi mogły komu nieść pomoc, kiedy je trzeba było same ratować z pogromu, na plecach wynosić, jak to np. uczynił Eneasz, uchodzący z Troi zburzonej.

Politycy fantaści już z czasów chrześcijańskich marzyli, śnili błogo, jak kwitnęło niegdyś imperium rzymskie, jak złote były czasy za pogaństwa i dążyli do wskrzeszenia dawnych stosunków, pomagali, zachęcali do absolutyzmu, do podbicia i podporządkowania władzy świeckiej wszelkich instytucyj, a zatem i Kościoła samego. Było to marzenie, poetyzowanie, bo dzieje ludzkości czego innego uczą. One wykazują, że ludy bynajmniej nie czuły się szczęśliwymi w owych czasach absolutyzmu rzymskiego, opierającego się na wierze w bogów.

W poezyi pięknie również przedstawia się Litwa pogańska, oddająca cześć Perkunowi, Mildzie, paląca święty ogień Znicza, utrzymująca gaje święte, hodująca gady święte itd. Ale w rzeczywistości niema w tem żadnej poezyi. Pogański lud przykre robił na każdego wrażenie, jak można czytać w kronice Stryjkowskiego. Cywilizacya szła nieodstępnie za wiarą prawdziwą i przynosiła kulturę i dobrobyt. Kapłan katolicki, a tem więcej biskup, jest przyjacielem ludu, jego rzecznikiem u Boga w daleko piękniejszem i szerszem znaczeniu, niż pogański Krywe Krywejto czy Wajdelota.

Gdyby nie chrzest św., Litwa byłaby padła pod mieczem Krzyżaka Niemca, jak padło tyle innych ludów słowiańskich na północy, które Niemcy wytępili i zupełnie wynarodowili. Słusznie też północne kraje niemieckie nazywają historycy cmentarzyskiem Słowian.

Polsce więc, a raczej wodom Chrztu św. zawdzięcza ten kraj swe ocalenie. Jagiełło, wielki książę litewski, który pojął za żonę królowę Jadwigę pod warunkiem, że sam porzuci bałwochwalstwo i swój lud przywiedzie do Chrystusa, jest zbawcą Litwy; Kościół św. prawdziwą dla niej arką Noego.

Dobrze powiedział jeden znakomity myśliciel polski, że katolicyzm wnosi zarodek nieśmiertelności między narody. Gdy ludy na tym gruncie wytworzą swą historyę, literaturę, stają się nieśmiertelnymi, żadna moc ziemska nie zdoła ich wygładzić i wynarodowić [1]).

Nie wina Polaków, że język litewski tak ubogi, że dopiero się tworzy, podobny do niemowlęcia w kołysce.—Królowie polscy nie narzucali gwałtem szkół swoich, nie bili za litewską mowę, jak to czynią Prusacy albo czynili Moskale do ostatnich lat.

---

[1]) X. M. Morawski, Przegląd powszechny t. VI. r. 1885. w Dodatku.

Ten antagonizm narodowościowy jest chorobą smutną, jest rośliną obcą, która nie na polskiej wyrosła ziemi. A szerzą ją tak zwani inteligentni.

Dałby Bóg, aby te kłótnie skończyły się, aby dwa ludy, które miłość łączyła tyle wieków, szły razem zgodnie i nie rozrywały jedności, która je sprzęgła za Władysława Jagiełły i Jadwigi polskiej!

Litwini i Żmudzini to lud poczciwy, podobnie jak polski.

Wieśniak kocha swego dziedzica Polaka i stara się mu przypodobać, sprawić niespodziankę. To też wyuczają się naprzykład kolend polskich i śpiewają przed dworem: to służba, to dziatwa szkolna naprzemian. Litwin i Żmudzin wieśniak kocha Maryę Pannę i jak nasz chłopek polski nosi szkaplerz, odmawia różaniec, stawia liczne figury, kapliczki przydrożne, śpieszy gromadnie do miejsc odpustowych, obchodzi dróżki kalwaryjskie z ogromnym pietyzmem.

Jest zwyczaj na Żmudzi ustalony, że po pierwszej Komunii św. wpisuje duchowieństwo do Szkaplerza i Różańca. Byłoby zgorszeniem dla Litwina i Żmudzina prawowiernego, gdyby na piersi katolickiej nie ujrzał tych oznak czci ku Maryi. Matka Najśw. sprawiła, jako pogromicielka wszelkich herezyj na świecie, że Litwini i Żmudzini wytrwali przy wierze katolickiej pomimo zakusów luterskich i kalwińskich, w XVI. wieku. A niebezpieczeństwo było groźne, bo Litwa jeszcze nie była należycie ugruntowaną w wierze św., którą przyjęła dopiero przy końcu XIV. w., a tem mniej Żmudź nawrócona zaledwie przed wiekiem do Chrystusowej nauki. Kościół jeszcze nie mógł wykarczować zupełnie resztek poganizmu i sympatyj do bałwochwalstwa. Albowiem jeszcze w roku 1587, pisał do Jezuitów w Wilnie o niektórych okolicach znakomity i świątobliwy biskup żmudzki Melchior, książę Giedroyć: „Składać ofiary piorunom, czcić węże, dęby i lasy poczytywać za święte, nie tak ze złej woli, jak z niewiadomości, za grzech sobie nie mają“ [1]).

Do dziśdnia jeszcze Żmudzini stawiają jarzębinę w pewnym stosunku do Matki Boskiej. Istnieje bowiem podanie tutaj, że Najświętsza Panienka w ucieczce do Egiptu pod tem drzewem nocowała. Kijom też jarzębinowym przypisują jakieś cudowne własności. Widocznie to resztka jeszcze pogańskiego zabobonu, jakoby pod Dębem i jarzębiną lubili odpoczywać bogowie dawni „świętej Żmudzi“.

Że chłod litewski i żmudzki jest ciemniejszy od chłopa galicyjskiego, wina spada na rząd, który dla oświaty nic nie czynił lub uważał ją za środek rusyfikacyjny, o czem już pisałem, omawiając sto-

[1]) Muzeum, rocznik XI. 1895, str. 505.

sunki kulturalne w Królestwie polskiem. Im dalej na wschód w cesarstwie, tem gorzej z oświatą, tem większa ciemnota panuje.

Na ten temat przed 10. laty pisał nieuprzedzony znawca stosunków szkolnych w Polsce i na Litwie te słowa: „Na wątłych barkach podrastającego pokolenia spoczywa najcięższej żelazna ręka barbarzyńskiego rządu, gniecie niemiłosiernie, tamując wzrost i rozwój przyszłej generacyi, usiłuje ją doprowadzić do moralnego i umysłowego zwyrodnienia“ [1]. W szkółkach elementarnych, zresztą nielicznych w tych okolicach, uczniowie przybywszy do klasy, zamiast się uczyć, uprawiają bardzo często nauczycielowi ogródek, wyrywają zielsko, zamiatają izby i wracają do domu, choć ani chwilki się nie uczyły.

Prywatną zaś naukę pokątną śledziła armia szpiegów, żyjących z denuncyacyi przeważnie. Przekupstwo i szpiegostwo do ostatnich czasów były głównemi ranami stosunków zakordonowych. A zatem tajni donosiciele, łapacze, łapownicy, szpiegowie wyrastali jak grzyby po deszczu.

Jeżeli kucharka i wogóle biedna osoba chciała, by syna do miejskiej szkoły przyjęto, by kiedyś wyrósł na pociechę i podporę jej starości, musiała dać łapówkę jej kierownikowi; często i łapówka utonęła w kieszeni, a chłopca nie przyjęto, bo inni dali więcej, a w szkole miejsca mało, ubikacye za szczupłe.

I tu dyrektorami w gimnazyach zostawali ludzie nienaukowych zawodów, protegowani jako dzielni rusyfikatorzy, nie mający pojęcia o pedagogii: a więc sami Moskale i to np. felczerzy, dymisyonowani urzędnicy lub wojskowi, czasem restauratorzy, baletnicy itd.

Ktoby nie chciał wierzyć, niech przejrzy pisma X. Kalinki z Królestwa, a nawet już wspomniany artykuł *Muzeum*, a przekona się o tem.

Historyę, geografię, gramatykę itd., profesorzy zadawali: „stąd dotąd weźmiecie“, nic nie objaśniając—i kazali na pamięć potem recytować.

Za drobne przestępstwa nieraz dawano uczniom tak zwane „wilcze bilety,“ to znaczy, że ich wydalano ze wszystkich szkół i naukowych zakładów.

Męczono akcentami rosyjskimi przy odpytywaniu lekcyj w szkole. To też uczniom Polakom pobyt w szkołach rosyjskich w Litwie i Królestwie zapisał się niemile w pamięci. Nic dziwnego, że w nocy jako dusząca zmora, wśród snu, stają im nieraz w umyśle i ci pedago-

[1]) Por. pracę ks. prof. Bronisł. Lausa o dyecezyi żmudzkiej w Księdze pam. Maryańskiej t. II. str. 143.

gowie i ich szykany i ich szpiegostwo. Uczeń z tego powodu potem się oblewa i budzi się z krzykiem. Taka metoda musiała ostatecznie wywołać protest rodziców i uczniów i była powodem wykrzywienia wielu rokujących na przyszłość usposobień młodzieży. (D. n.).

Ks. dr. Jakób Górka.

Poradnik katechetyczny i duszpasterski.

O królikach i gołębiach. Co to? Dwutygodnik przyjmuje i drukuje artykuł „o królikach i gołębiach?“ zawoła pewnie niejeden czytelnik, spojrzawszy na powyższy tytuł. Ale uspokójcie się mili czytelnicy! Przecież drukował się artykuł „polowanie na bociana“, a nikt się tem nie zgorszył, bo zrozumiał, że skoro polowanie zakazane, to szanowny i dzielny autor owego artykułu do polowania i to jeszcze na bociany, w ścisłem tego słowa znaczeniu, nikogo zachęcać nie będzie. Toż i ja, pisząc ten skromniuteńki artykulik „o królikach i gołębiach,“ nie będę zachęcał nikogo ani do chowu, ani do handlu królikami, jakkolwiek byłoby to wielce pożyteczną rzeczą, ale chcę zwrócić uwagę szan. czytelników na chłopaków, którzy handlują królikami i gołębiami... w niedzielę.

Ustawa krajowa (daty jej nie pamiętam) pozwala na sprzedaż artykułów spożywczych w niedzielę w godzinach przedpołudniowych, podobno do godziny 9. rano. Na jakiej podstawie do artykułów tych zaliczone są króliki i gołębie, których przecież, tak wprost z miasta je przyniósłszy, jeść nie można, tego nie rozumiem, ale faktem jest, że handel królikami i gołębiami prowadzi się w niedzielę. Prowadzi go zaś kto? Przeważnie młodzież—chłopcy. Co niedzielę spotyka się ich całe procesye po wszystkich drogach, prowadzących do poblizkiego miasta, z koszykami, w których niosą białe, szare, niebieskawe i siwe króliki i garłacze, pawiki, kapucynki, werfle i Pan Bóg wie jeszcze jakie gołębie. Wtedy, gdy wszyscy inni poczciwi katolicy spieszą na „prymarję“ do kościoła i słuchają Mszy św. i kazania, młodzież, o której tak szumnie mówimy często, że to nasza przyszłość i nadzieja narodu..., spieszy do miasta! Po co? Na handel królikami i gołębiami! Targ ten trwa zwykle do godziny 9. rano. Policya rozpędza czasem tych, coby dłużej z tym towarem na rynku stać chcieli.

Wynoszą się więc chłopcy z rynku i dokąd idą? Czy do domu? Prosto do domu? Ba! poszedłby niejeden, ale wypadło mu iść koło trafiki; jakże nie wstąpić tam, gdy się ma grosz w kieszeni i nie kupić sobie tytoniu, bibułek i zapałek? Idzie dalej i widzi sklepy otwarte—na drzwiach jednego namalowany czerwieniutki Krakus z kieliszkiem w ręku; świeżutkie bułki, rogale, obwarzanki aż się uśmiechają do niego, wystawione we drzwiach sklepu w koszyku! On taki głodny! Zeszedł się tyle!—całą milę!

Przypomina sobie zresztą, co nieraz na własne oczy widział, że tatuś jak kupili albo sprzedali krowę, sprawiali „litkup“—przyjechali do domu pijani i znowu sprawiali „litkup“ sąsiadom, co przyszli nowy dobytek oglądać i chwalą go—jakże więc on, sprzedawszy dziś dobrze króle czy gołębie, albo kupiwszy inne, lepsze, a tanio, bo mu jeszcze pieniędzy zostało, nie miałby wstąpić do szynku i napić się „jednego“ i kupić sobie bułkę? Wstąpił.— Zastał tam już innych, co także dziś jarmarczyli i „oblewają“ nowe króle, lub gołębie, albo grzeją się w zimie, czy chłodzą w lecie i posilają się po długiej drodze — inni wchodzą za nim, a wszyscy piją wódkę, albo pociągają ze szklanki piwo i przegryzają, to cóż on miałby być gorszego? Kazał sobie dać „jednego“, wypił, kupił bułkę — zagryzł i zabiera się do wyjścia, bo trzeba jeszcze iść na sumę—tatuś będą swarzyli! Wychodzi już, ale inni zatrzymują go, powiadają: czekaj! pójdziemy razem — a któryś woła: Jasiek, psiawiaro, toś tak dobrze sprzedał króle i nic nie każesz?—Nie każę.—Musisz kazać!—Nie każę!—A kiedy musisz! — Ha! jak muszę, to muszę.—Panie, daj pan po „jednym“— powiada do żyda.—Wypili!—No! widzisz Jasiu! kazałeś ty, to teraz każę ja, bo i jam króle dziś sprzedał.—Kazał—wypili! Po nim kazał jeszcze inny—wypili! Przejedli jeszcze bułkę, podzielili się kiełbasą, co któryś kupił po drodze, albo z domu, ukradłszy matce, przyniósł, skręcili papierosy i ...idą. Idą, ale drogi niewiele im ubywa — kręcą się im jakoś nogi! Godzina już dziesiąta, a oni jeszcze pod miastem. W parafii przedzwonili już na sumę — już ksiądz wyszedł z kazaniem, a oni jeszcze w drodze—suma już wyszła, a oni jeszcze daleko od domu.— Nie pójdą dziś do kościoła, bo z koszykiem, z królikami, z gołębiami przecież nie pójdą, a nim zajdą z domu do kościoła, to suma już się skończy i ludzie z kościoła wracać już będą.

Tak było w jednę niedzielę. Wesoło przeszła! Bawili się przecież po drodze, rozmawiali, śmiali się, śpiewali. — Przychodzi druga niedziela, ale niema króli, niema gołębi, niema z czem iść do miasta! Nie będzie na tytoń! Ba! ale tam u sąsiada jest tyle tych króli, że jeno łażą i łażą jak te koty po ogrodzie! Żeby tak złapać choć jednego! A u tamtego ile tam gołębi!—same „garłacze“! Ej! byłoby na cały tydzień na papierosy i byłoby za co pójść wieczór do karczmy! Złapię jednego—tylko jednego; ma ich przecież ten sąsiad tyle! Złapał!—nikt nie widział! Schował do koszyka i rychło świt poszedł znowu do miasta... i znowu nie był w kościele! — Nie słyszał kazania, nie pomodlił się... ale za to wesoło znowu spędził niedzielę! Potem przyszła trzecia niedziela. Młode króle już się podchowały, „młodziaki“ już się dobrze zapierzyły—będzie z czem iść do miasta! I idzie. I tak prawie niedziela za niedzielą—cały rok Boży!

Pytam się, co będzie z takiej młodzieży? Czy taki chłopak, co nauczył się za młodu gwałcić święto handlem i pijatyką, nie bywać w kościele, nie słuchać kazania, a jeszcze kraść i marnotrawić grosz, lekko zarobiony, czy będzie dobrym synem Kościoła? Czy będzie szanował i słuchał księdza, którego się lękał zawsze za młodu, aby nań nie swarzył? Czy będzie trzeźwym, uczciwym, porządnym człowiekiem? Wszak czem skorupka nawre za młodu, tem na starość trąci!

Radzi się tyle o opiece nad małoletnimi przestępcami, ubolewa się nad nieposłuszeństwem i bezbożnością mężczyzn—na co to wszystko, jeśli się źródła złego nie zatka i nie usunie okazyi do złego? A takiem źródłem złego, taką okazyą, to ten handel królikami i gołębiami w niedzielę w rękach chłopców. Kto tego nie widzi? Który proboszcz, mieszkający blizko większego miasta nie skarży się na to? Wiem, że księża z pewnego dekanatu uchwalili wnieść memoryał w tej sprawie do Sejmu i prosić o przeniesienie handlu królikami i gołębiami na inny dzień powszedni, na dzień targowy lub jarmarczny. Czy nie byłoby wskazaną rzeczą, aby i inne dekanaty w całym kraju przyłączyły się do tej prośby? Przecież króli, ani gołębi, choćby je kto z konsumentów i kupił w niedzielę, to ich nie zabija zaraz na obiad, bo takie mięso świeże niesmaczne, twarde i szkodliwe nawet zdrowiu! Dlaczegóż więc jarmarczyć temi żyjątkami w niedzielę? Rozmawiałem o tej sprawie z poważnymi gospodarzami — oświadczyli, że oni dawno pragną przeniesienia tego handlu na dzień jarmarczny, bo wtedy i starsi wzięliby się do tego przemysłu.

Warto może zastanowić się nad tem! Uratowałoby się może niejednego młodzieńca od zguby!

Bagatelna to rzecz na pozór, ale właśnie z takich bagatelnych rzeczy powstają potem wielkie! *Ks. Albin*, prob. w Chełmie.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Wybory do parlamentu w Niemczech i sankcyonowanie reformy wyborczej w Austryi pod koniec stycznia z jednej — a rozpoczęta w lutym agitacya wyborcza w Cislitawii na podstawie nowego prawa cztero-przymiotowego panują obecnie nad sytuacyą. Co do rezultatu wyborów w Niemczech sprawdziły się nasze obliczenia odnośnie do centrum i do Polaków, którzy zyskali 4 głosy i wchodzą do parlamentu w sile 20 posłów; centrum zyskało 5 (9) głosów i liczy 105 (109) członków. Rząd niemiecki wytężył wszelkie siły, posłał do głosowania wszystkich urzędników, rozbudzał szowinizm narodowy i starą niechęć protestantów do katolicyzmu — nie zapomniał o haśle: „divide et impera“ i powołał do bytu nowe stronnictwo „narodowo-katolickie“, przeciwne centrowcom, łudził się nadzieją osłabienia katolików i Polaków i zapowiadał w swych organach publicznie ich klęskę. Wybory przekonały rządowców, że stronnictwa, które nie stoją łaską rządu, lecz są wytworem zdrowych a koniecznych prądów życiowych i nie lenią się do pracy, nie znikną z widowni na skinienie ministra, że zatem roztropniej byłoby z niemi się liczyć jak walczyć — niestety jednak rozwagi i sprawiedliwości trudno się się spodziewać u ludzi oszołomionych zwycięstwem.

Bo rząd zwyciężył... kosztem socyalizmu. Godził w „czarnych“, przy głównym ataku nie marzył nawet o nadwątleniu stanu posiadania socyalistów a jednak pokonał... „czerwonych“! Zrobił jednak

minę zucha i przy wyborach ściślejszych wołał publicznie: „Hejże na czerwonych“! Po raz pierwszy doznali socyaliści porażki przy wyborach i stracili 43 miejsc, tak iż nie 79 lecz 36 posłów jedynie mieć będą w parlamencie. Jak się to stało? Oto rządowcy pobudzili do głosowania masy dotąd obojętne i od wyborów się usuwające i pozyskali wielu tak zw. *Mitläufer*, którzy dotąd głosowali wespół ze socyalistami. Z pośród uprawnionych do głosowania 75% stanęło tym razem do urny i stronnictwo pozujące... na jedynego obrońcę ludu doznało klęski sromotnej. Powód ten uznają sami czerwoni, chociaż dotąd nie chcieli przyznawać się do wpływu „sympatyzujących“ z nimi nie-socyałów i chełpili się swą siłą wewnętrzną. Czyż nie jest tak samo w Austryi, a zwłaszcza w Galicyi, gdzie „czerwonych“ jest zaledwie garść nieznaczna w kilku większych miastach? Z dwudziestu tysięcy głosów, jakie otrzymał poprzednio Daszyński zaledwie 2 tysiące oddali „towarzysze zorganizowani“; reszta padła z ust malkontentów, cieszących się, że Daszyński nic może wprawdzie dodatniego zdziałać nie potrafi ale dużo krwi napsuje....

Zmniejszenie się uroku socyalizmu idzie także w porze z głębszem wykształceniem ludu i robotników w sprawach socyalnych. Nie jest bowiem prawdą (jak chciał Marks), że ewolucya społeczna pcha ku kollektywizmowi, że socyalizm jest żywiołowym jakimś przesłannikiem przyszłości, owszem prawdą jest, że narody, gdzie ongi ślepo hołdowano socyalizmowi, w miarę rozwoju oświaty wyzwalają się z jego pętów i wolą organizować stosunki ekonomiczne na zasadach sprawiedliwości społecznej i stowarzyszeń zawodowych, które łączą w sobie korzyści indywidualizowania i własności wspólnej. Widzimy to zwłaszcza w Anglii, ojczyźnie potężnych trade-unions, gdzie świeżo na kongresie w Belfast w Irlandyi, złożonym z delegatów 928.000 robotników, odrzucono większością 835.000 przeciw 93.000 wniosek Atkinsona, by wszyscy robotnicy wstąpili do organizacyi socyalistycznej. W niektórych okręgach w Niemczech zmniejszyła się również ilość socyalistów, więc może być, że i tu przekonują się zwolna robotnicy, że socyalizm, występując w parlamencie jako negacya wszelkich konieczności państwowych, nie może dla robotników wywalczyć ulg pozytywnych, możliwych do osiągnięcia tylko drogą kompromisów, że natomiast inne stronnictwa więcej mogą dla nich zdziałać. Prym w reformach socyalnych dzierży w Niemczech niezaprzeczenie centrum katolickie. Rzut oka na ostatnie 25 lecie (od r. 1882) pracy parlamentarnej, jakiego dokonał prof. ks. Hitze w München-Gladbach, wystarcza, by unaocznić, ile centrum zrobiło dla tworzenia kas chorych, dla zabezpieczenia asekuracyjnego na starość i na wypadek niezdolności do pracy, dla zaopatrzenia wdów i sierot po robotnikach, dla odpoczynku niedzielnego, dla opieki nad dziećmi robotników i nad robotnicami, dla skrócenia dnia roboczego, dla ustanowienia inspektorów a zwłaszcza inspektorek fabrycznych, dla zaprowadzenia sądów rzemieślniczych i handlowych, jak stara się o założenie izb robotniczych itp. I w Austryi zrobiono już wiele dla poprawienia doli robotników, a uchwaliła to potępiona w czambuł burżuazya. Jedynie młodzik zapalny i niedoświadczony da się porąbać za wzniosłość socya-

lizmu; z latami jednak i on otwiera oczy i przekonuje się, że to, co uważał za szczere złoto, było tylko szychem. Nie darmo też socyaliści zwalczali u nas namiętnie projekt Izby Panów, by każdemu wyborcy po skończonym 35 roku życia przyznano 2 głosy; wiedzą, że w takim razie nawet lokalne ich przewagi prysnęłyby jak bańki mydlane.

O równości deklamują wiele „postępowcy," ale jej znać nie chcą tam, gdzie mają przewagę, jak np. we Francyi, a nawet *w Szwajcaryi.* Podczas gdy Belgia katolicka stara się o niepogwałcenie mniejszości (system proporcyonalny), Rada związkowa szwajcarska nie chce traktować szkół fachowych katolickich na równi z innemi i po raz drugi już odrzuca prośby o ich subwencyonowanie. Odezwa Rady przyznaje wprawdzie, że do szkół owych przyjmują wszystkich bez różnicy wyznania, że zakłady takie przyczyniają się do dobra publicznego, ale potępia tło, na którem zakłady te są oparte tj. katolicyzm! Natomiast organizacye w celu kształcenia się, tworzone w socyalistycznych związkach robotniczych, otrzymują subwencye bez trudności! Ładna równość!!

Podobnie zrozumiano równość i wolność we *Francyi,* gdzie Kościół obrabowano i poddano go nadto ustawom wyjątkowym. W Ameryce jest wolny Kościół w wolnem państwie, Francya zaś marzy o „skrępowanym Kościele w państwie antyreligijnem". Rząd liczył na schizmy wśród katolików i popiera gorąco każdą próbę tego rodzaju, jak np. świeżo „Kościół katolicki, apostolski, francuski" biskupa Vilatte'a, człowieka, który agitował w swoim czasie za starokatolicyzmem, szukał następnie przytułku w kościołach schizmatyckich na Wschodzie i otrzymał tam święcenia biskupie, pogodził się na jakiś czas z Kościołem katolickim, a obecnie radby wyróść na „papieża" francuskiego. Ale czasy Avignonu i gallikanizmu już minęły! Lubo oddano Vilattemu byłą kaplicę Barnabitów w Paryżu, lubo Vilatte ogłasza ludowi, że będzie tam Msza św. jak dawniej, lubo znalazł pomocnika w osobie księdza Rousin, to jednak wystarczyło ostrzeżenie Episkopatu francuskiego i kaplica stoi pustką! Mimo to Vilatte zamierza wyświęcić aż dziesięciu „biskupów" dla swego zborzyszcza!

Tymczasem Episkopat katolicki za zezwoleniem Papieża chciał ułatwić rządowi wyjście z trudności w ten sposób, że na podstawie ustawy styczniowej (już trzeciej z rzędu w tej sprawie), znoszącej obowiązek zgłaszania jakichkolwiek zgromadzeń do policyi, poleca odprawiać wszędzie nabożeństwa, jak dotąd, a zarazem zezwala proboszczom na podstawie formularza jednolitego dla całej Francyi (ułożonego na zjeździe styczniowym w Paryżu) wydzierżawić od prefektów lub burmistrzów kościoły na lat ośmnaście, przyczem potępia nadal w zasadzie gwałt dokonany na Kościele. Dzierżawę zatwierdzać ma biskup; przechodzi ona na każdego następcę proboszcza, przez biskupa ustanowionego. W ten sposób zarząd świątyń pozostałby w rękach hierarchii. Gdyby jednak nie wszędzie przyjęto formularz wspomniany, układ nigdzie w życie nie wejdzie. Na brak dobrej woli u katolików nie może się więc żalić Clemenceau! Niestety *Briand* nowemi klauzulami odtrącił rękę do zgody wyciągniętą.

Tok wypadków ujawnia blagę Bienvenu-Martina, który jako minister wyznań ręczył 5. kwietnia, że przez zerwanie konkordatu nie ucierpi protektorat francuski nad katolikami Wschodu, bo się opiera na traktatach międzynarodowych. Przeoczył, że protektorat staje się literą martwą od chwili, kiedy Papież zaprzestanie żądać od misyonarzy, by wzywali opieki Francyi. Stało się to zaś niepodobieństwem, gdy rząd francuski zaczął przeszczepiać na Wschód swe ustawy i wystąpił z hasłem sekularyzowania szkół misyjnych. Nie dziw, że świeżo Francya odstąpiła Włochom formalnie protektorat nad zakładami dominikańskimi; cessye te mnożyć się będą w tempie coraz szybszem, bo protektorat francuski stał się rzeczą bezprzedmiotową. Traci z nim Francya przeważający swój wpływ na Wschodzie ale — cóż to szkodzi wolnomularzom?

Na uznanie i podziw zasługuje wytężona praca wielu współbraci w *Kongresówce*, zwłaszcza na polu społecznem. Włocławek (X. Mańkiewicz), Częstochowa (X. Jakowski) i Wilno (X. Jasiński) przełamały pierwsze lody już w r. 1904, Warszawa (X. Godlewski) rusza się od r. 1905. W październiku 1906 odbył się już pierwszy zjazd delegatów robotniczych stowarzyszeń chrześcijańskich w Częstochowie, w styczniu zaś (9/1) 1907 drugi taki zjazd w Warszawie. Na ostatnim zjeździe zjawiło się 200 z górą delegatów robotniczych, przeważnie z Częstochowy (36), Łodzi (28), Zagłębia Dąbrowskiego (28), Piotrkowa, Włocławka, Koła, Łowicza, Rozprzy itd. Dokonano zjednoczenia kół całego Krolestwa z sekretaryatem głównym w Warszawie, przyczem zostawiono kołom autonomię szeroką w ramach zasadniczej ustawy wspólnej, która między innemi wyklucza z kół agitacyę partyjno-polityczną i ustanawia patronem księdza katolickiego. Wyjaśniono, że księża mają mieć głos w stowarzyszeniach tylko w rzeczach religii i moralności, nie decydują zaś w sprawach ekonomicznych. (Ks. Arcybiskup oświadczył potem, że zabroniłby kapłanom swoim decydować w sprawach czysto robotniczych, bo ich posłannictwo jest tylko religijne). Oświadczono się za tworzeniem osobnych stowarzyszeń robotnic, ubolewano nad trudnościami (ze strony rządu) zabezpieczenia na starość i na wypadek bezrobocia, a z narodową demokracyą uchwalono na razie iść w parze ze względów narodowych, chociaż przywódcy endeków zbyt uparcie milczą o stosunku swoim do Kościoła. Organem stowarzyszeń jest *Pracownik Polski*, rozchodzący się w 15.000 egzemplarzy. Zaznaczyć należy że X. Godlewski zdołał ze składek pokryć całkowicie koszta utrzymania delegatów w Warszawie i zakupić im bilety teatralne na przedstawienie „Obrony Częstochowy". Akcya ta, a równocześnie zdyskredytowanie się socyalizmu przez nędzę i mordy, jakie wywołał, rokują jak najlepsze widoki na przyszłość. Pracuje wytrwale na polu społecznem kler w Poznańskiem, pracuje obecnie i w Kongresówce — czyż my w Galicyi mielibyśmy w tyle pozostać? Dyecezya krakowska może być wzorem i dowodem, że i u nas wiele zrobić można na polu społecznem. Vivant sequentes!

RECENZYE.

Najświętszy Sakrament w życiu św. Stanisława Kostki. Dziewięć uwag na czas nowenny do św. Patrona polskiej młodzieży. Napisał ks. Bratkowski T. J. stron 47. Kraków w drukarni Czasu 1906.

Sam tytuł świadczy o treści uwag wymownego kaznodziei. W serdecznym wstępie pisze autor: „Dotychczas o tej tajemnicy wiary naszej bardzo mało, chyba w epoce Iej Komunii św. mówiliśmy naszej młodzieży, osobliwie męskiej. Tajemnica najżywotniejsza, która daje nam nie tylko łaski obfite, lecz nadto żywą obecność Pana Jezusa, staje się niestety martwą i zupełnie zasłoniętą przed sercem młodzieży naszej; wprawdzie idą młodzi do Komunii św., ale przeważnie machinalnie i ze zwyczaju".

Słowa te przypominają mi sprawę tak ważną szkolnej spowiedzi i Komunii świętej. Zdaje mi się, że zdałoby się zrobić dyagnozę zapatrywań józefińskich, których resztki spotykałem nieraz pośród katechetów i świeckich profesorów. Nie trzeba zapominać, że józefinizm był nie tylko mieszaniną gallikanizmu i febronianizmu, ale także luteranizmu, z zachowaniem dawnych form katolickich. Duch, jaki ożywia spcwiedź i Komunię józefińską, podobniejszym jest może do ducha nauki luterskiej niż do nauki soboru trydenckiego. Quod probandum est. W luterskiej spowiedzi i Komunii dzieje się wszystko tylko ex opere operato, aby przez Chrystusa zakryć całą winowajczość i ciągłą grzeszność człowieka; tym sposobem jest się wobec Boga usprawiedliwionym niezależnie od usposobienia wewnętrznego. Według soboru trydenckiego inaczej.

Dzisiaj ograniczę się do jednego ustępu soboru trydenckiego, który mógłby być rozważanym na kongresach katechetów. „False quidam calumniantur catholicos scriptores, quasi tradiderint, Sacramentum Poenitentiae, absque *bono motu* suscipientium, gratiam conferre; quod nunquam Ecclesia Dei docuit, neque sensit; sed et falso docent, contritionem esse extortam et coactam, *non liberam et voluntariam*". (Sessio XIV. cap. IV.).

Ostatnich słów nie umiem pogodzić z przymusową spewiedzią, która tak często prowadzi do lekkomyślnego traktowania Sakramentów, co chyba tylko dla młodocianego wieku nie jest zawsze świętokradztwem. Upadek ducha Bożego i gorliwości nawet bez józefinizmu dochodzi do podobnej urzędowości!

Zacny dyrektor gimnazyalny opowiadał mi, że czuwa uad tem, aby wszyscy uczniowie przystępowali do Komunii i jeżeli nie usprawiedliwią nieobecności, dostają złe obyczaje. Wielkie było zdziwienie, gdy mu powiedziałem: „A jeżeli chłopiec nie dostał rozgrzeszenia albo się wcale nie spowiadał, to dla dobrego świadectwa dopuści się Komunii świętokradzkiej".

Gdyby Katecheci przed spowiedzią uczniów byli choć przez jednę godzinę misyonarzami tj. prawdziwymi pasterzami swoich owie-

czek, które innych nie mają pasterzy, niewiele byłoby świętokradzkich spowiedzi [1]).

Co lepiej: czy żeby pewna liczba uczniów nie odbyła wcale spowiedzi (skoro gorliwość katechety lub jego pomocników nie zdołała ich do tego nakłonić) ale za to nie było żadnych świętokradztw; czy też przeciwnie, żeby wszyscy bez wyjątku zmuszeni byli do Sakramentów, chociaż większy lub mniejszy procent będzie świętokradztw? Oto kwestya, która nadaje się do rozwiązania Biskupom a nawet w Rzymie.

W internatach katolickich w ostatnich czasach zaprowadzono taki zwyczaj, że co sobotę w oznaczonych godzinach siedzą księża w konfesyonałach dla uczniów, którzy non extortam et coactam sed liberam et voluntariam faciunt confessionem. Dyskussya otwarta [2]).

Wracając do cennej książeczki O. Bratkowskiego, która tak daleko mnie zaprowadziła, dodam jeszcze, że na końcu znajduje się pieśń do św. Stanisława Kostki.

Jasna jutrzenko narodu polskiego...
Młodzież też naszą ratować trzeba.

Śpiewa się tę pieśń na nutę: Boże coś Polskę. *X. J. N. S.*

Nauka i Wolnomyślność. Rozprawy, listy i mowy Marcelego Berthelot, Ferdynanda Buisson, Jerzego Clemenceau, Gabrjela Seailles i Maurycego Vernès — przełożył Konrad Drzewiecki. Warszawa. 1907. Str. 240.

Jestto trzeci z rzędu tom „Bibljoteki filozoficzno-społecznej“ wydawanej w duchu paryskiej Ligi Wolnej Myśli i warszawskiej Myśli Niepodległej. Zawiera rozprawę G. Seailles'a p. t. „Dlaczego dogmaty nie odradzają się?“ i siedm przemówień, względnie listów, z okazyi kongresów „wolnomyślnych“ w latach 1902 do 1905. Nie potrzebujemy dodawać, że według tego dzieła w chrystyanizmie ani nauka wiary, ani etyka, ani żywot Chrystusa Pana, ani żywoty Świętych, ani działalność Kościoła nie mają obecnie żadnej wartości, należą do rupieci przestarzałych i ustąpić muszą miejsca nauce, determinizmowi itp. Rzecz czyta się lekko; na ludzi miernie zaznajomionych z istotą

[1]) Krytyk nie patrzy na życie szkolne zbliska i dlatego nie wie, że oddawna już dzieje się to, czego *słusznie* żąda, tj. katecheta przed *każdą* spowiedzią staje się missyonarzem i (o godz. 10tej lub 11tej przedpołudniem) odbywa z uczniami przygotowanie do spowiedzi. Nie znamy też *obecnie* zakładu, gdzieby liczono, kto nie przystąpił do Komunii św. i dawano za to złe noty z obyczajów. Józefinizm we wielu rzeczach ustąpił miejscą głębszemu przejęciu się duchem Bożym. Stwierdzając te fakty, nie przesadzamy dyskussyi ewentualnej, choć sądzimy, że znaczna część poruszonej kwestyi jest już bezprzedmiotową.

[2]) W Tarnowie zaprowadził to JX. Biskup Leon Wałęga dla wszystkich szkół średnich. Praktykuje się to od szeregu lat co sobotę—ale nie wyklucza się tem spowiedzi obowiązkowej. Natomiast uczniowie mają łatwą sposobność do częstszej spowiedzi.

chrystyanizmu może ona nawet wywrzeć wrażenie, bo napisana jest z werwą, a w tonie spokojnym, ożywionym jedynie ironią gryzącą. Należy więc—bez reklamowania książki z góry — przestrzegać przed nią, gdzie się z nią spotkamy. Kierownicy rekolekcyj dla inteligencyi i katecheci szkół średnich powinniby ją przeczytać i—nie wymieniając tytułu — przytaczać i zbijać jej twierdzenia, co przyjdzie nietrudno, bo książka robi z chrystyanizmu istną karykaturę. I to właśnie doda otuchy ludziom wierzącym. Jeźli wolnomyślni nie mają lepszych argumentów przeciw dziełu Chrystusa Pana, jak zarzucanie, że chrystyanizm nie dba o prawdę, nie troszczy się o sprawiedliwość a poprzestaje tylko na miłości teoretycznej, nie zaleca pracy a żąda tylko biernej cierpliwości i kontemplacyi, że uważa naturę za rzecz z gruntu złą itp., to zaprawdę nie mamy się czego lękać; takiemi przekręcaniami można bowiem zbałamucić chwilowo umysły mniej krytyczne, ale trwałego nic się nie zbuduje. Swoją drogą obowiązkiem naszym jest nie spać, ale propagandzie złego przeciwstawiać rozważną i cierpliwą propagandę dobrego. Próbką rzekomej naukowości tego dzieła niech będzie okoliczność, że G. Séailles, chcąc wykazać, że dogmaty nie zgodzą się z nauką nowożytną, sięga aż do dzieła jakiegoś Teofila Boujou z r. 1614., przytacza zeń, jak scholastycy mieli godzić teologię z systemem Ptolomeusza i na tej podstawie, oraz na podstawie Dantego, rzuca swe wyroki potępienia! Trzysta lat najnowszego rozwoju teologii nie istnieją po prostu dla niego! Nadmieniamy, że Bibljoteka ta wychodzi nakładem firmy Gebetnera i Wolfa.

X. dr. *Żukowski Jan* prof. uniw. lwowskiego. *Marya tarcza wiary*. Lwów 1907. str. 72.

Autor postanowil dowieść, „że Marya nietylko herezye, ale i niewiarę niszczy, będąc *żywą apologią* Syna Swego i Jego Kościoła". W tym celu przechodzi proroctwa słowne i realne dotyczące Maryi i świadczące, że Ona była w sposób nadzwyczajny przedmiotem myśli Bożej — i proroctwa przez Maryę wygłoszone w hymnie Magnificat. Nie pomija i drugiego rodzaju kryteryów i omawia cuda dotyczące osoby Maryi i cuda przez Maryę zdziałane w dziejach Kościoła, rozbierając je krytycznie. „Uroczyste (takie) objawienie się mocy Bożej na korzyść jakiejś religii musi być uważane jako znakomite świadectwo jej wyłącznej prawdziwości, jej pierwszeństwa przed wszystkiemi innemi wyznaniami, jej nienaruszalnego prawa do kierownictwa dusz". Ciekawe są „tradycye" narodów pogańskich dotyczące Maryi. Z tych danych wywodzi autor, że cześć Maryi jest dowodem prawdziwości wiary, jest środkiem do ożywienia i pomnożenia wiary i przedstawia Maryę jako wzór wiary. W końcu zestawia z historyi fakta stwierdzające, że Marya rzeczywiście była i jest obronną tarczą wiary. W ten sposób z maryologii robi rodzaj apologii chrystyanizmu. Rzecz przedstawiona jest zwięźle a jasno i gruntownie i będzie mile widzianą zarówno przez każdego czciciela Maryi jak i przez każdego, kto o Maryi naucza wiernych. Witamy radośnie ów przyczynek samodzielny do ogólnej apologetyki chrześcijańskiej.

Szczepan Jeleński. Prąd Nowy. Warszawa 1907. Str. 32.

W broszurce tej stara się autor podnieść otuchę katolików, dowodząc, że Kościół łatwiej opanować może nowoczesnego ducha pogańskiego jak za czasów renesansu. Żąda jednak, by katolicy nie zasklepiali się w konserwatyzmie co do rzeczy ludzkich i twierdzi, że „katolik, który pragnie być *konsekwentnym* względem swych zasad, musi być zawsze opozycyonistą tęskniącym za wyższym stopniem doskonałości stosunków społecznych i walczyć niezmordowanie o lepsze nietylko pod względem duchowym lecz i materyalnym jutro ludzkości. Rzecz godna przewertowania i rozwagi.

OBRAZKI Z OBOZU PRZECIWNEGO.

Otrzymujemy w tej sprawie uwagi następujące:

„Spotykałem się z zarzutami, skierowanymi pod adresem Dwutygodnika katechetycznego, że za często i za dużo prowadzi polemiki. Prawie ze wszystkich naszych gazet, nawet i z tych co się mają za katolickie, zbiera obrazki, w których wykazuje, o ile się mijają z prawdą albo propagują fałszywe zasady. Dlaczego tak czyni i na co się to przyda? Czy może szczególną czuje niechęć do tej lub owej gazety? Czy może uważa wszystkie gazety nasze za wrogie Kościołowi? Bynajmniej. Znając bliżej intencye Dwutygodnika mogę śmiało zapewnić, że nie kieruje się niechęcią lub uprzedzeniem, ale jedyuie miłością prawdy. Kto bowiem pilnie śledził tok naszego piśmiennictwa z ostatnich dziesiątek lat, przyznać musi, że wszystko co liberalna prasa Zachodu uważa za właściwe popierać i szerzyć, popiera i szerzy większa część naszych pism peryodycznych i codziennych. Ponieważ zaś tamtą prasą kierują ludzie wręcz nieprzyjaźni Kościołowi św. i chrześcijańskiej nauce, przeto i w naszych pismach, z odcieniem lepszym, chociaż nawet w nich pracują ludzie szanowni i z małym może wyjątkiem pewnie niepragnący upadku religii w społeczeństwie, powtarzają się w imię jakoby nauki, postępu i dobra społecznego, te same ciosy przeciwko tej nauce, która właśnie jest światłem świata, nieodzownym warunkiem wogóle szczęścia społecznego i w szczególności zbawienia każdej jednostki. Cokolwiek tam powiedzą, tu zaraz wierne powtarza echo.“

„Tem więcej trzeba to powiedzieć o naszych dziennikach, wprost Kościołowi wrogich. Niech tylko w Kościele powstanie jaki pyszny profesor lub niesforny zakonnik przeciwko nauce powszechnej, prasa ta będzie broniła niezawodnie prawowierności zbuntowanego członka, a wyrzekać na zaślepienie całego Kościoła. Nie zna ona żadnej znakomitości w Kościele, ale niech tylko mizerna jaka osobistość podniesie swój głos przeciwko Kościołowi, już ten głos znajdzie w niej echo i nazwany będzie wymownym, a mizerna osobistość wyrośnie na historyczną wielkość. Każdy znów gorliwy, czy ksiądz — czy wierny, stający gorliwie w obronie prawdy Chrystusowej, może się napewno spodziewać nazwy zawziętego, zaciętego fanatyka. W tych antyreli-

religijnych wycieczkach posuwają się nieraz nietylko już do bluźnierstwa, ale nawet do zdumiewającej swoją naiwną złośliwością śmieszności."

„Wreszcie i to należy uwzględnić, że mnoży się u nas liczba publikacyj, a zazwyczaj nowe, chcąc sobie wyrobić rozgłos, starają się o niego zuchwałością swoich negacyj, zarozumiałością swoich planów i twierdzeń. A choć tym sposobem nie rozszerza się znacznie pole polemiki bo nie wiele nowego powiedzieć już mogą nowi przybysze, wszelako rośnie potrzeba częstszego, ustawicznego prawie wykazywania fałszu stawianych zasad i wadliwości rozumowania naszych antagonistów. Dlatego choć temu w żaden sposób pismo dwutygodniowe poradzić nie może, jednak wielka w tem zasługa Dwutygodnika, że choć w ten sposób stara się złemu zaradzić. Robota na tem polu nieustanna. Tertullian słusznie powiedział: Omnia adversus veritatem de ipsa veritate constructa sunt. Z świątyni prawdy błąd ustawicznie wyrywa kamienie i z nich swoją wznosi budowę. Trzeba więc ustawicznie odbudowywać, trzeba ustawicznie wyjawiać fałszywe tendencye; należy walczyć o każdą cegiełkę, a każdy fakt, o każde rozumowanie."

„Życzyćby tylko należało, aby dział ten był w Dwutygodniku powiększony." x.

Do trafnych uwag x. Korespondenta, dodajemy uwagę, że z wielu stron wyrażano nam podziękowanie za „obrazki", zwłaszcza z tego powodu, że przytaczamy dosłownie ustępy bardziej rażące, bo to ułatwia oryentowanie się katechetom i duszpasterzom i uwalnia ich od marnowania czasu na czytanie tylu pism, urabiających „opinię publiczną". Oszczędza się tem zarazem wydatków niepotrzebnych na prenumerowanie pism wrogich, wydatków, które równałyby się nawet pozytywnemu popieraniu złego przez dostarczanie mu funduszów. Dział ten prowadzić będziemy zatem i nadal.

Na razie notujemy, że narodowo-demokrat. *Myśl Polska* (Warszawa nr. 4.) w artykule „Żydzi" popularyzuje dzieło Honstona Stuarta Chamberlaina, piętnujące materyalizm i lichwę żydów, ale zarazem godzące w cały Stary Zakon i reprodukujące rezultaty negatywnej krytyki protestanckiej. Nie zdziwiłby nas artykuł taki w piśmie teologicznem, ale nie pojmujemy jego celu w tygodniku dla ogółu przeznaczonym. Jeźli Redakcya M. P. chce poinformować *wszechstronnie* i bezstronnie czytelników o rozwoju badań nad starożytnym Wschodem i nad Starym Zakonem, powinna zapewnić sobie z góry i ogłaszać teraz rozprawy celniejszych biblistów katolickich, względnie krytyków protestanckich stojących na gruncie pozytywnym, ale temsamem zamieniłaby swe pismo na teologiczne, a wątpimy, czy to uczyni. W obecnej formie artykuł M. P. przyniesie pożytek chyba tym, którzy żydów nie lubią ale przytem zwalczają także wszelkie Objawienie. Nie inny skutek wywrze streszczenie w *Kuryerze Lwowskim* (n. 49 z 29/1) dwóch polskich prac oryentalistycznych, niedawno wydanych a w pyle zapomnienia pogrążonych, mianowicie Dra Müllera: „Ustawy Hammu-rabiego i ich stosunek do ustawodawsta mojżeszowego, jako też do dwunastu tablic", oraz dra Mojżesza *Schorra:*

„Państwa i społeczeństwa babilońskie w okresie tak zw. dynastyi Hammurabiego (2500 — 2000 przed Chr.)“. Kwestyę kodeksu Hammu-rabiego omówiony niebawem obszerniej.

Socyaliści nasi umią wykorzystać teren w ten sposób przygotowywany i pogłębiać przepaść między wiernymi towarzyszami a Kościołem przez obrzucanie kleru zniewagami. Agitacya wyborcza podniecila jeszcze ich „gorliwość“ w tym kierunku. Gniewają ich przedewszystkiem broszury wydawane przez Związek katolicko-społeczny, więc wyszydzają „Precz z ciemnotą“ jako płód nie profesorski ale księży, a dra Czerkawskiego: „Socyaliści, czem są i do czego dążą“ jako pracę profesorską a nie księżą. „Z prostości to czy z głupości“? woła *Naprzód* (n. 32 z 1 lutego) na dra Czerkawskiego i sądzi, że trafił czytelnikom swoim do gustu! Widać, że zna „swoich.“ Pośrednio staje nawet *Naprzód* w obronie popów schizmatyckich, bo ilekroć napadli na zakonników katolickich w Ziemi św. i starali się im przemocą wydrzeć jakieś miejsce święte, raniąc bezbronnych, *Naprzód* nie znalazł ani słowa oburzenia dla fanatyków i grabieżców, lecz wołał z radością „mnichy się biją“! (świeżo w. n. 32. z 1 lutego). Wyszydzał też swego czasu cud św. Januarego, a przemilczał jak fachowy chemik skonfundował niedowiarka, zapowiadającego i wykonującego „doświadczenie“ podobne. Ogłasza nazwiska Polaków zasądzonych w Prusiech za sprawę strejku szkolnego, ale z reguły przemilcza nazwiska wielu księży, zamykanych z tego powodu do więzienia. Taktyka to możę postępowa, ale czy... uczciwa?

Przyjaciel Ludu nie przebiera także w środkach i zapełnia szpalty ujadaniem na księży. Świeżo dostało się w nim (n. 6) X. Kołodziejowi z Tarnowa za to, że w gminie Zawadzie chciał złożyć radę opiekuńczą dla sierót i wdów (!) i woła: „Niechże X. K. da sobie spokój z wszelkiemi radami opiekuńczemi, bo chłopi teraz mają ważniejsze dzieło do wykonywania, mianowicie muszą się starać o to, aby przyszłe wybory wypadły na korzyść ludu, a wtedy i sieroty i wdowy nie będą umierać z głodu i zimna“. Jeźli kapłan nie zajmuje się gdzieś złagodzeniem niedoli, woła *Przyjaciel ludu* (w tym razie słusznie nawet co do rzeczy, choć złośliwie pod względem formy), że ksiądz nie pracuje tam, gdzie mu nie płacą, jeźli znów rwie się do pracy bezinteresownej i humanitarnej i przez to zyskuje sobie zaufanie, woła to pisemko: „Księżo-szlachecka spółka, przewidując wyzwolenie się ludu z pod jej rządów, jak przedtem zacięcie występowała przeciw reformie wyborczej, tak teraz się stara pod *pozorem* dobroczynnych celów pozyskać lud, aby później łatwiej przeprowadzić swych kandydatów“. Widać że tym panom dogodzi chyba ten, kto się odda ślepo pod ich komendę. W rzeczach wiary natomiast stał się *Przyjaciel Ludu* ostrożniejszym i od czasu panegiryków na cześć Niemojowskiego poprzestaje na dowolnem naciąganiu tekstów Pisma św., a napaści religijne przekazuje *Kuryerowi Lwowskiemu.* W ten sposób bowiem można bronić się twierdzeniem, że się nie nastaje na wiarę, a zarazem zalecając Kurjera Lw.... cel osiągnąć!

Wiadomości dyecezalne.

Kraków. *Inst.* na kanonię katedr. ks. dr. *Mazanek* Jan z Przemyśla, na prob. we Wróblowicach ks. *Michalak* Józef z Gierałtowic. — *Mian.* ks. *Holik* Jan T. J. katechetą w Staniątkach, ks. *Smaga* Jan Z. Kan. reg. adm. w Gierałtowicach. — *Konkurs* na prob. w Gierałtowicach do 10. marca.

Przemyśl. *Inst.* na prob. w Łączkach ks. *Tenczar* Antoni ze Staszkówki, w Niebieszczanach ks. *Bauer* Roman z Łętowni, w Stojańcach ks. *Jaworski* Stanisław, w Handzlówce ks. *Krzyżak* Wojciech. — *Mian.* ks. *Gajda* Józef zast. katech. w gimn. w Jaśle, ks. *Kwolek* Antoni katech. w szk. wydz. ż. w Jaśle, ks. *Irzyna* Andrzej adm. w Harcie, ks. dr. *Kochowski* Władysław rektorem sem. chłopców w Przemyślu, ks. *Szajer* Michał adm. w Lutczy, ks. *Sandałowski* Edward adm. w Szarzynie i ks. *Cetnarowicz* Jan (deficyent) wik. w Miechocinie. — *Przen.* ks. *Horowicz* Stanisław z Jarosławia do Przemyśla, ks. *Fudalla* Franciszek ze Stojaniec do Rokietnic, ks. *Wolski* Franciszek z Gorlic do Jarosławia, ks. *Klajewicz* Michał z Krzemienicy do Gorlic, ks. *Lewkowicz* Jan z Łańcuta do Czudca, ks. *Gdula* Adolf z Czudca do Milczyc, ks. *Ruszar* Alojzy z Milczyc do Łańcuta, ks. *Budnik* Józef z Rokietnicy do Zarzecza (ad pers.). — *Urlop* dla choroby otrzymali: ks. *Fałęcki* Stanisław k. gimn. w Jaśle, ks. *Bieńkiewicz* Szymon k. szk. wydz. ż. w Samborze, ks. *Miętus* Antoni w Samborze i ks. *Różański* Zdzisław w Leżajsku. — *Konkurs* na prob. w Harcie do 15. marca. — *Zmarł* ks. *Będaszewski* Konstanty, jubilat, prob. w Harcie. R. i. p.!

SKRZYNKA NA LISTY.

Kilkunastu zapytującym. Nie jest prawdą, jakoby komitet kursu zaproponował mi referat o katechizmach. Zgłosiłem się sam z chęcią objęcia dwóch referatów: o metodzie katechizowania i o nauczaniu Biblii, na co komitet odpowiedział, że do pierwszego tematu uproszono już X. Ślepickiego, ale mogę mieć korreferat. Odpowiedziałem odwrotną pocztą, że korreferatu objąć nie mogę, bo mógłbym popaść w zupełną rozbieżność z X. Ślepickim, a zatrzymam jeno Biblię. Sposób wystąpienia X. Śl. na kursie dowiódł, żem słusznie postąpił. W grudniu zrzekłem się także referatu o Biblii — zresztą najłatwiejszego — bo osoby życzliwe ostrzegły mię, że aura stolic naszych nic bardzo sprzyja produktom prowincyonalnym. Istotnie Dwutygodnik lub podręczniki moje potępili w czambuł ksiądz dr. Fijałek, ksiądz Ślepicki, ksiądz Józetowicz i kilku »lwów« na wiecu; poparł je tylko w sposób nieoczekiwany X. Prałat dr. Lenkiewicz i większość wiecu. Proszę mi zatem nie brać za złe zupełnego milczenia podczas obrad we Lwowie; oszczędziłem jedynie uczestnikom kursu scen niestrawnych i wołałem sam ucierpieć, aniżeli poziom i powagę kursu obniżyć. Ze zdaniami rozbieżnemi rozprawię się w Dwutygodniku sine ira et studio; na razie pociesza mię doświadczenie, że niejedna już teza Dwutygodnika—zrazu przez zjazdy odrzucana (np. o teologii w szkołach)—później przyjęła się ogólnie. O krytykę pozytywną upraszam. X. W. G.

Od Redakcyi. P. T. Współbraci, zalegających z prenumeratą, zawiadomimy kartkami pocztowemi o wy-

sokości kwoty dłużnej i prosimy najgoręcej o bezwłoczne wyrównanie rachunku. Nie zrujnuje to przecież nikogo, a dla wydawnictwa znaczy wiele, bo mamy około sześć tysięcy K. zaległości, w wielu razach już nieściągalnych z powodu śmierci dłużników. Któż to uzupełni? Niełatwo w tych warunkach wytrwać na stanowisku!

Redaktor odpow. **Ks. Walenty Gadowski.** Drukiem J. Styrny w Tarnowie